ŚWIAT

Nr. 13
27. III. 1937
Cena 1 zł.

TAK PŁONĘŁA BAZYLIKA Ś-TEGO PIOTRA W RZYMIE

(ilustracja do artykułu na str. 4-ej)



PRZYJACIOŁOM, PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM NASZEGO PISMA PRZESYŁAMY W DNIU ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO SERDECZNE ŻYCZENIA

REDAKCJA „ŚWIATA"

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXII Nr 13 27.III 1937

UKRZYŻOWANIE ZBAWICIELA



Giotto (szkoła włoska, wiek XIV) *Fresk w kaplicy Scrovegni w Padwie*

Najbardziej przejmującym, najgłębiej dramatycznym tematem w sztuce religijnej jest od wieków prawie dwudziestu — Męka Pańska. Wielcy artyści wszystkich krajów i epok malowali i rzeźbili Ukrzyżowanie Zbawiciela, osiągając w tych scenach bolesnych najmocniejsze nasilenie wzruszenia i najwyższe wzloty swej twórczości. Zamieszczamy dzisiaj, z okazji Świąt Wielkiejnocy kilka dzieł miary nieprzeciętnej, ukazujących ten temat w ujęciu różnych epok i różnych indywidualności.



Witraż włoski z wieku XV-go
(Pinakoteka w Perugii)

Na lewo — słynny fresk Giotta w Kaplicy Scrovegnich w Padwie. Skupienie bólu, surowość formy, rytmiczność kompozycji charakteryzują to dzieło. Powyżej — piękne w swej prostocie „Ukrzyżowanie" na witrażu włoskim z wieku XV-go. Na prawo u góry — słodyczą ujęcia i subtelnością barw „Ukrzyżowanie" Perugina stanowi dobitny kontrast z dziełem Giotta. Dwa wieki różnicy w czasie — i niezmierna różnica temperamentów twórczych. Na prawo u dołu — „Chrystus na Krzyżu" Antoniego Michalaka, pełen wyrazu i dramatycznego napięcia, stanowi dowód, że i w wieku XX-ym niektórzy artyści dojrzeli do wzruszeń wielkiej sztuki religijnej.



Perugino (1446—1524) Szkoła umbryjska
Pinakoteka w Perugii



Antoni Michalak — Ukrzyżowanie



... plac wspaniale zamknięty dwoma łukami kolumnady Berniniego

ZOFIA NORBLIN-CHRZANOWSKA

BAZYLIKA W OGNIU

„Sem Romani — tanto basta“... (Jesteśmy rzymianami — to wystarcza) — mówi z filozoficznym spokojem rzymski zamiatacz ulic do rzymskiego dryndziarza. I obaj niezachwianie wierzą w swoją wyższość nad wszystkiemi na świecie nacjami, które w ich pojęciu — tak jak lat temu dwa tysiące — zasługują tylko na pogardliwą nazwę „barbari“.

Ci prostaczkowie rzymscy zapatrzeni w swą wielkość — nie mylą się tak zupełnie, choć napozór poglądy ich wyglądają dość paradoksalnie. A nie mylą się dlatego, że Rzym jest czemś całkowicie swoistem. Jest nie tylko wielkiem miastem — *„l'Urbe“*—jak się tam krótko określa — jest nietylko stolicą wielkiego państwa— nietylko stolicą Kościoła wszechświatowego— nietylko kolebką kultury, cywilizacji i prawa wszystkich narodów dziś w świecie przodujących. Jest tem wszystkiem — i czemś więcej jeszcze. Jest sam w sobie twórcą dziwnej atmosfery o tajemniczych właściwościach, może właśnie dzięki swemu wielowiekowemu trwaniu i znaczeniu. Jest niewyczerpanem źródłem rozkoszy artystycznych, jest skarbnicą z której czerpać można wiedzę o dziejach świata — ale jest pozatem niezawodnym szafarzem mądrości i doświadczenia życiowego. Kto w Rzymie mieszkał czas dłuższy, ten wie, że atmosfera rzymska zostawia w duszy ślady niezatarte.

Nie mówimy o nerwowych turystach, którzy do Wiecznego Mias-

... z dołu śledzimy szybkie, precyzyjne ruchy ludzi na zboczu kopuły...



...po cieniutkich drabinkach i po linkach „sampietrini" z narażeniem życia dostawali się na sam szczyt...

ta zjeżdżają na tydzień, przebiegają zziajani przez setki sal muzealnych i kilometry zabytków antycznych. Ci ludzie, zależnie od usposobienia, mówią: „Nudne miasto, Tępa piła z tem zwiedzaniem" — i z westchnieniem ulgi zamykają rzymski etap podróży, jak się kończy ciężką a obowiązującą pańszczyznę.

Inni — gatunek lepszy — chwytają swą wrażliwością odrazu trudny i nieprzystępny czar Rzymu. Mówią wiedzeni niezawodnym instynktem: „Cudowne miasto! Chciałoby się tutaj zamieszkać na dłużej, aby je poznać do głębi".

Ci są bliscy prawdy. Tylko ten, kto miał szczęście mieszkać latami w Rzymie, zna jego urok. I ten tylko wyniósł z obcowania z tem miastem najgłębsze wartości, któremi ono obdziela wtajemniczonych: równowagę życiową, dojrzałość płynąca ze spokoju, spojrzenie jakby z oddali na drobne sprawy tego świata. I głębsze ujęcie życia.

Bo jeśli nie ulega żadnej wątpliwości, że Paryż człowieka poleruje i wykańcza intelektualnie — to Rzym człowieka wewnętrznie pogłębia. Wszystko jest tu inne, wszystko na skalę historyczną, wszystko — na miarę wieków. Nic dziwnego, że na tem tle i człowiek ze swemi przeżyciami rośnie w skali. Rzym może niweczy lekkość, nadaje zato wszystkiemu spotęgowane znaczenie. Wesołość przeradza się tutaj w djonizyjską radość życia, miłość — w namiętność, nienawiść — w zbrodniczą *„vendettę"*, zwykłe zmartwienia nabierają form tragicznych, nawet specyficzne ciśnienie atmosfery wytrąca z równowagi organizmy nieodporne, lekki wiatr nabiera tu mocy groźnej tramontany, a chmury nad Castello Sant' Angelo układają się w dramatyczne kłębowiska.

Dlatego naturalne i właściwe wydają się na tem tle formy i zdarzenia które gdzieindziej trąciłyby śmiesznością. Manifestacje i rewje, odbywające się dzisiaj między Colosseum a starożytnemi Łukami Tryumfalnemi — raziłyby swą teatralną wspaniałością, gdyby je chcieć wtłoczyć w ciasne ramy Nowego Świata w Warszawie, albo w nowoczesną ruchliwość Wielkich Bulwarów Paryża. Gesty imperatorskie, które w Berlinie czy Ankarze wyglądają na mimowolną groteskę — w Rzymie nietylko nie rażą, ale stanowią jakby naturalną kontynuację tego co było, co nigdy w duszy ludu nie umarło. A pełne nieopisanej wspaniałości i dekoracyjnego przepychu uroczystości kościelne, z wielobarwnymi orszakami, ze srebrnemi trąbami, z oklaskami tysiącznych tłumów dla niesionego na „Sedia Gestatoria" Papieża — byłyby wogóle nie do pomyślenia np. w Nowym Jorku albo... w mieście Łodzi.

Tylko w odwiecznej Stolicy Apostolskiej, w mieście czterystu kościołów, siedzibie kardynałów i kongregacji, znajdują odpowiednią atmosferę i sharmonizowane tło wielkie manifestacje kościelne. Je-



..fotograf zajął upatrzony „punkt strategiczny" na szczycie kolumnady...

dną z najrzadszych a niezapomnianych jest iluminacja Bazyliki Świętego Piotra.

„Phi — wielka mi rzecz, iluminacja! Widywało się już w tym zakresie to i owo" — powie sceptyczny czytelnik.

Wiele osób sądzi, że to przecież wiek XX stworzył te iluminacje urbanistyczne, które w naszych czasach o stępionej nieco wrażliwości — mają dodawać nowego, „efektowniejszego" uroku znanym już skądinąd fragmentom architektury. (Tak jak kobiecie nowoczesnej konieczne jest podkreślenie urody przez mniej lub więcj jaskrawy maquillage...).

Otóż — ktoby sądził, że wiek XX jest wynalazcą w dziedzinie iluminacji — byłby w błędzie. Wiek XX tylko umiejętnie i rozrzutnie zaczął szafować nieograniczoną siłą światła elektrycznego. Ale sam pomysł jest stary jak świat — i stosowany był od wieków.

Nowoczesne miasto już się obejść bez tej szminki nie może. Bywa ona zresztą nieprzeciętnej wartości artystycznej, że sobie przypomnimy specjalne oświetlenia Place de la Concorde w Paryżu, niektóre efekty osiągane na Wieży Eiffla, gry świateł rozperlonych w rzymskich fontannach, czy nastrojowe iluminacje Forum Romanum. Na skromniejszą zaś skalę — nasze warszawskie oświetlenia niektórych gmachów i pomników.

Ale wszystkie te pomysłowe i nawet piękne dekoracje świetlne nie mają nic wspólnego z iluminacją Bazyliki Piotrowej. Tamto wszystko — to są wrażenia czysto wizualne, dające przyjemność oczom. Święty Piotr w ogniu daje niezwykłe przeżycie, wstrząs duchowy, zupełnie niezależny od wrażeń estetycznych.

■

Jeśli chodzi o różnicę techniczną — to polega ona na tem, że do wszystkich innych iluminacji na świecie używa się dzisiaj światła elektrycznego. Przy iluminacji Bazyliki natomiast stosuje się nadal, jak przed wiekami — lampki i czary oliwne. Chodźmy na plac ś-tego Piotra, aby zobaczyć, jak się to przedstawia w praktyce.

Zapowiedziano oddawna na ten wiosenny wieczór słynną iluminację z powodu Anno Santo. Uprzedzono mnie, że trzeba udać się przed Watykan zawczasu, aby wogóle znaleźć miejsce, a także poto, żeby niezmiernie ciekawe przygotowania obserwować od samego początku. Od godziny piątej popołudniu tłumy ze wszystkich krańców Rzymu ciągną w stronę Watykanu. Ciasne uliczki Borgo z trudnością mieszczą tę falę ludzką tłoczącą się dla ujrzenia słynnego widowiska. Tak jest—powiedzmy to wyraźnie — lud rzymski pcha się tutaj, wiedziony chęcią widowiska. Od wielu dziesiątków lat Rzym nie widział słynnej iluminacji Bazyliki, o której legendy krążą z pokolenia na pokolenie. W Roku Świętym, kiedy miljony pielgrzymów napływają z całego świata, zajaśniała przed nami w blasku świateł tryumfalnych Bazylika Piotrowa.

Powoli, wśród rozgwarzonej, ciekawej ciżby, posuwamy się wązkiem średniowiecznem Borgo w stronę Piazza San Pietro. Wreszcie wydostajemy się na wielki plac wspaniale zamknięty dwoma łukami kolumnady Berniniego. Już gromadzą się tutaj setki ludzi, którzy zresztą giną w ogromności tej przestrzeni. Podchodzę bliżej ku Bazylice i dostrzegam wspinające się po jej fasadzie maleńkie figurki ludzkie.

„Ecco i Sampietrini" — mówi do swych dzieci jakaś rzymianka z ludu, wskazując na te pełzające po ścianie robaczki. Oto są *„sampietrini"*... Nazwa ich pochodzi od *San*



...wielkie powodzenie mają odnajemcy składanych stołeczków...



...podnoszą się coraz wyżej wzdłuż cudownych zakreślonych linji ręką Michała Anioła...

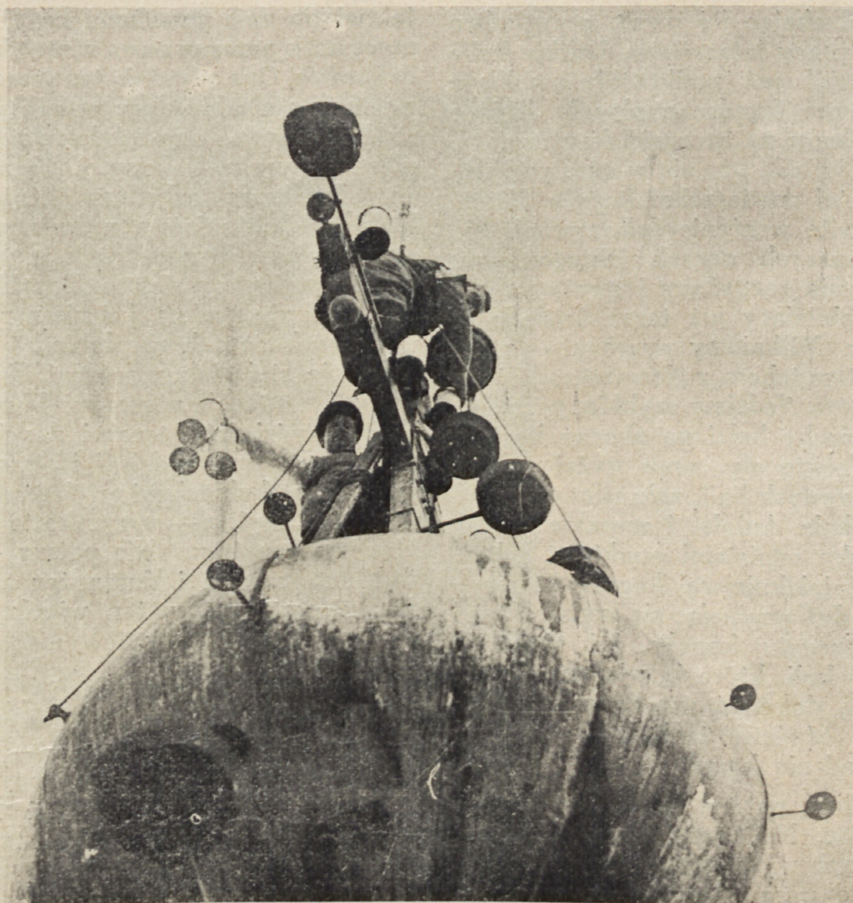
Pietro — i oznacza ludzi, którzy zajęci są przy pracach koło Bazyliki Piotrowej. Ci, na których patrzymy dzisiaj, mają robotę bodaj najtrudniejszą. Wymaga ona niesłychanej zręczności, sprawności fizycznej wprost niezwykłej, zdolności akrobatycznych niemal cyrkowych. Już od szeregu dni przygotowywali oni dzisiejszą iluminację. Po cieniutkich drabinkach, w niektórych miejscach po sznurach, dostawali się z narażeniem życia coraz wyżej, aż po sam szczyt kopuły Bazyliki, aby zgodnie z ustalonemi od wieków przepisami, porozmieszczać lampiony, w których dziś zapalą oliwę. Lampiony te są dwuch rodzajów: wązkie wysokie cylindry, których gęste szeregi podkreślają linje kolumn i drobniejszych ozdób architektonicznych — oraz duże półkuliste czary, rozmieszczone rzadziej i zaznaczające fragmenty ważniejsze. Aby udekorować całą fasadę Bazyliki, majestatyczną kopułę Michała Anioła i całą kolumnadę Berniniego, otaczającą plac—potrzeba kilkunastu tysięcy świateł. Dwustu „sampietrinów" uwija się w tempie gorączkowem, aby sprostać olbrzymiemu zadaniu.

„Nigdy w życiu tego nie zrobią na czas — martwi się głośno jakaś prosta kobiecina. — Przecież jeszcze nie zaczęli zapalać a niedługo zrobi się ciemno".

„Jakto — nie zaczęli zapalać?— protestuje stojąca koło niej starsza dama z arystokracji rzymskiej. — Już na dole światła się palą, tylko ich nie widzimy, bo światło dzienne je zaćmiewa".

Rzeczywiście — przyjrzawszy się uważniej, dostrzegam leciutkie dymki, unoszące się z najniżej położonych lampionów. A „sampietrini", którzy przed chwilą pracowali prawie na poziomie placu, zaczynają wspinać się coraz wyżej. Z tempa pracy wnoszę jednak, że na oświetlenie całości czekać będzie trzeba długo. Rozglądam się więc po placu, który tymczasem coraz szczelniej wypełnia się publicznością.

Wielkie powodzenie mają odnajemcy składanych stołeczków, robiący przy takich uroczystościach znakomite interesy. Każdy kto wydać może *„una lira"* wynajmuje sobie stołek, rozstawia w dogodnem miejscu, i teraz już cierpliwie, bo bez zmęczenia, oczekuje na zapowiedziane widowisko. Fotografowie pozajmowali już odpowiednie punkty strategiczne. Spostrzegam znajomego świetnego reportera-fotografa Bruniego, który zdobył właśnie „upatrzoną pozycję" na szczycie kolumnady—i stamtąd celuje raz prosto w kopułę Bazyliki, to znowu w tłoczący się na placu tłum. Że praca fotografów nie była tym razem synekurą — to sobie czytelnicy dopowiedzą sami, spojrzawszy na załączone ilustracje. Aby zdo-



...dostali się na ramiona krzyża...

być zdjęcie najciekawsze, aby uwiecznić momenty najbardziej karkołomne — fotograf nie wahał się rywalizować z „sampietrinami" i wspinał się po linkach na najtrudniejsze szczyty.

Powoli za Watykanem zachodzi słońce. Dzień szarzeje w srebrzysto mleczny zmierzch, a zmierzch stopniowo przechodzi w zgęszczony mrok wieczoru. I wtedy dopiero praca „sampietrinów" staje się naprawdę widoczna. Uwija się paruset zwinnych djabłów, niemal cudem utrzymując równowagę. Każdy z nich w jednej ręce trzyma zapaloną pochodnię, którą z błyskawiczną szybkością przykłada do oliwy w lampionach. Drugą zaś ręką — niema co — „trzyma się tapety"... Jakim cudem ta operacja odbywa się bez katastrof, tłomaczy mi dobrotliwie ta sama starsza dama z patrycjatu rzymskiego, która tak dokładnie zna się na rzeczy. Mówi mi: „Przecież oni nie uczą się tej sztuki. Tego się nauczyć nie można. „Sampietrinem" nie można zostać. „Sampietrinem" trzeba się — urodzić. Są rodziny, które od kilkuset lat z ojca na syna, z dziada na wnuka przekazują sobie tradycję tego kunsztu. Dlatego robią to tak sprawnie".

Słuchając jej uwag, przyglądam się pracy latarników. Lekkie kolje świateł już podkreśliły smukłość kolumn fasady, zapłonęły lśniące djademy na szczycie frontonu, teraz światła pną się w górę po bombiastej powierzchni kopuły. Niesamowite wrażenie dokonywania się w naszych oczach jakiegoś cudu ogarnia rozgadany i gwarny tłum, zapełniający już teraz ściśle cały plac. Milkniemy wszyscy — z zapartym tchem, z głowami zadartemi w górę śledzimy szybkie, precyzyjne ruchy ludzi na zboczu kopuły. Podnoszą się coraz wyżej wzdłuż cudownych linji, zakreślonych ręką Michała Anioła, i wyczarowują w mroku ognistemi punktami sylwetę najpiękniejszej kopuły na świecie. Już wspinając się szybko doszli do szczytu kopuły, już stanęli u stóp kuli, która ją wieńczy. Teraz mają dokonać rzeczy najtrudniejszej: oświetlić tę kulę — i jeszcze ponad nią krzyż.

Tłum patrzy, zamarłszy w milczeniu. Najlżejsze obsunięcie nogi na tych wyżynach, postawienie stopy o parę centymetrów wbok — grozi w mroku nieobliczalnemi następstwami. Ale my tu na dole właściwie wcale o tem nie myślimy. My już wiemy, że im się nic nie stanie — że im się stać nic nie może. To przecież wcale nie są ludzie: to są jakieś duchy, a może poprostu czarodzieje, którzy w sposób dla nas zupełnie niezrozumiały — ku radości naszych oczu — zapalają dla nas Bazylikę Świętego Piotra. „„O, już się wspinają po kuli! O, już są u stóp krzyża! O, dostali się na ramiona krzyża! Ach — jeden jest już na szczycie!"

Cichutko — szeptem — jakby nie chcąc ich spłoszyć — zamieniają swe uwagi widzowie. Teraz, gdy już wszystkie światła zapalono — poddajemy się w całej pełni czarowi. Na czemże on polega?

Poza harmonijnem rozmieszczeniem świateł, doskonale podkreślającem piękno architektoniczne Bazyliki — polega on przedewszystkiem na tem, że światła te są — żywe. Są chwiejne, jak zapalone lampki na grobach w Zaduszki. Są ruchliwe jak świętojańskie robaczki. W leciutkim powiewie pogodnego wiosennego wieczoru drgają niedostrzegalnie, rzekłoby się — dążą ku niebu. W przeciwieństwie do wszystkich na świecie iluminacji elektrycznych, których wspaniałość jest martwa, bo nieruchoma — te światła dają gmachowi Bazyliki nowy urok poprzez nową niezwykłą dekorację. One ożywiają ten gmach, a wraz z nim i biegnącą wokół placu kolumnadę, one obdarzają go nieoczekiwanie — duszą. Zdaje się, że lada chwila cały ten potężny blok architektoniczny, uwieńczony strzelistością krzyża, uniesie się przed nami w powietrze. Bazylika drga, pulsuje życiem, już się zaraz w naszych oczach rozpłynie...

Ludzie stoją jak urzeczeni. Prostacy i magnaci, zasuszeni biuraliści i artyści, inteligenci i dancingowe kukły, małe dzieci i starcy, spracowane kobieciny i wyelegantowani młodzieńcy — wszystko to oniemiało i patrzy. Nie patrzy — wchłania oczami i duszą ten widok niezapomniany, ten widok w swoim rodzaju jedyny.

Przypomina mi się nagle prześliczny sonet Giovanni Gioacchino Belli, tego rozkochanego w Rzymie poety, który nie pisał *„in lingua"* — (czyli w języku literackim) — tylko w rzymskim twardym djalekcie, sławiąc w setkach sonetów piękno Wiecznego Miasta.

Belli tak mówi o iluminacji Ś-tego Piotra:

Tutti li forestieri, ogni nazione
de qualunque paese che se sia
dicheno tutti quanni: a casa mia
ce se fa gran bellissima funzione.

*

E non dico che dicino bucia:
forse, chi piu, chi meno, hanno ragione,
ma chiunque viè a Roma, in concrusione,
mette la coda fra le gamme e via.

*

Chi popolo pò esse e chi sovrano
che ciabbi a casa sua 'na cuppoletta
come er nostro San Pietro in Vaticano?

*

In qual' antra città, in qual' antro stato
C'e st'illuminazione benedetta,
Che t'intontisce e te fa perde er fiato?

W dosłownym, ale niedoskonałym przekładzie prozą znaczy to mniej więcej:

„Każdy cudzoziemiec, każdy naród, z jakiejby ziemi nie pochodził, mówi zawsze: w moim kraju odbywają się przepiękne nabożeństwa.

I nie mówię, żeby każdy kłamał: może, jeden mniej, jeden więcej, mają rację, ale ktokolwiek przybędzie do Rzymu, w rezultacie bierze ogon pod siebie i zmyka.

Jakiż jest naród czy monarcha, któryby miał w swym kraju kopułkę taką, jak nasz Święty Piotr w Watykanie?

W jakim jeszcze mieście albo państwie istnieje ta cudowna iluminacja, która cię oszałamia i dech ci w piersiach zapiera?"

■

Stoi tłum rzeczywiście z zapartym tchem.

Stoi tłum kilkudziesięciotysięczny — jak zahypnotyzowany. Znikła gdzieś południowa wesołość, żywość temperamentów, poufała włoska gadatliwość. Cisza zaległa plac. Ten naród, wrażliwy jak żaden inny, skupił się i zamilkł. Każdy czuje, że taka chwila w życiu może się już nigdy nie powtórzy. Każdy podświadomie robi jakieś obrachunki z własnem sumieniem. Każdy staje się w tej chwili jakiś lepszy, podniesiony na duchu.

Patrzymy. Ale nie można tu przecież zostać na całą noc... Już nowe dziesiątki tysięcy wtłaczają się na plac od strony ciasnych Borgo, już karabinierzy uprzejmie ale stanowczo proszą, abyśmy ustąpili miejsca następnym. Z żalem, ociągając się, spoglądając za siebie na płonącą Bazylikę — tłum opuszcza plac Ś-tego Piotra.

„Czemu tego niezwykłego widoku nie dadzą ludziom oglądać częściej?" — pyta w tłumie jakaś rozmiłowana w Rzymie angielka.

„Signora — nie można pospolitować rzeczy niezwykłych — odpowiada na to młody włoski robotnik. A pozatem — czy pani wie, ile to oświetlenie kosztuje?"

„Nie wiem. Ale czyż tak wiele?"

„Tylko sto pięćdziesiąt tysięcy lir! Na to i Watykan nie codzień może sobie pozwolić".

Taka jest odwrotna strona tego medalu.

■

Jadę na Pincio, na drugi koniec Rzymu aby raz jeszcze z daleka, z wysoka, spojrzeć na oświetloną Bazylikę. Po drodze spotykam tłumy ciągnące bez przerwy ku Watykanowi. Tego wieczoru 500 tysięcy osób przeszło przez plac Ś-tego Piotra.

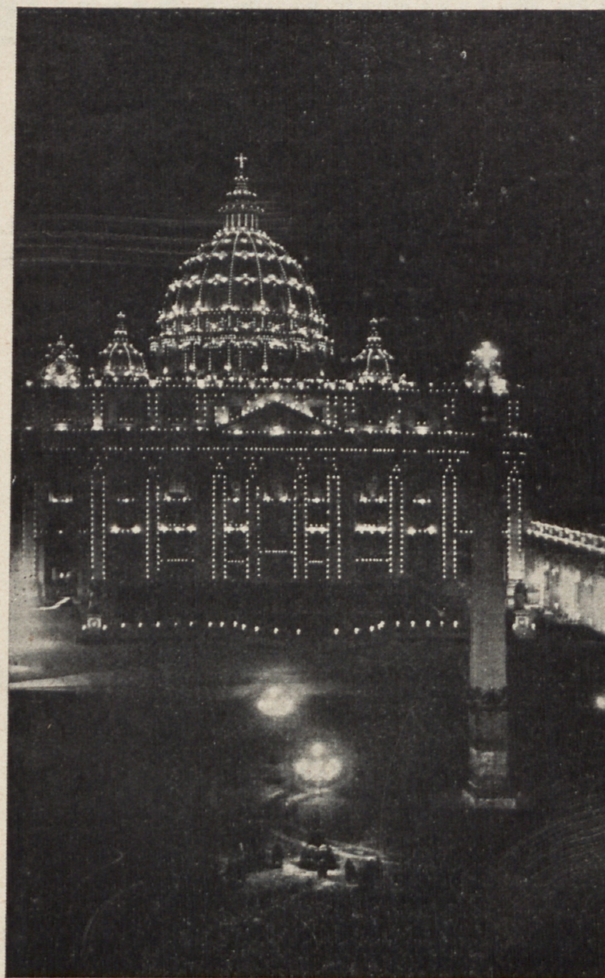
Ze wzgórza Pincio widok jest fantastyczny. Kopuła Bazyliki wygląda zdaleka, jak olbrzymia bezcenna tjara, wysadzana lśniącymi djamentami. W czarnych nurtach Tybru przeglądają się światła nadbrzeża.

■

W kilka dni potem z okazji święta narodowego Rzym iluminowany był wspaniale. Pałace rządowe, Forum, fontanny, olśniewały bogactwem świateł. Wracałam do domu wieczorem jednokonną „carrozzellą" — staroświecką rzymską dorożką, którą najmilej się jeździ po Wiecznem Mieście, gdy się ma na to czas. Stary dorożkarz, który napewno miał z 80 lat i pamiętał jeszcze czasy Państwa Papieskiego, obrócił się ku mnie, gdyśmy przejeżdżali koło rzęsiście oświetlonego zamku Świętego Anioła.

„Er Papa l'ha fatto mejo" — zawyrokował krótko. („Papież to lepiej zrobił").

Byłam tego samego zdania.



Światełka są ruchliwe, jak świętojańskie robaczki...



...kopuła Bazyliki wygląda jak olbrzymia, bezcenna tiara wysadzana diamentami...

WIDOWISKA PASYJNE W THIERSEE

Mała tyrolska wioska Thiersee, schowana skromnie wśród gór, jest sławna na cały świat. Uroczyście obchodzono tu w roku ubiegłym sześciowiekowy jubileusz widowisk pasyjnych.

Tradycja przedstawień pasyjnych w Tyrolu jest bardzo stara. Początki jej sięgają połowy XIII w., a rozwój następuje w 1330—40 r. Kronikarz tyrolskiego miasteczka Bozen, Troyer pisze, że w 1341 r. aby odwrócić straszną klęskę szarańczy, ślubują mieszkańcy Bozen, że wystawiać będą przez trzy lata pobożne widowisko, którego treścią będą dzieje biblijne.

Wiele tyrolskich miejscowości bierze z nich przykład. W Sterzig, Hall, Brixen, Bruneck, Rattenberg i Schwarz odbywają się w 14 w. corocznie widowiska pasyjne —zwyczaj ten umacnia się coraz bardziej. Kiedy powstały widowiska w Thiersee, dokładnie nie wiadomo, pewnem jest jednak, że istnieją od kilku wieków. Ściślejsze, opierające



Alojzy Kaindl, cieśla, gra rolę Chrystusa



Kathe Juffinger w roli Matki Boskiej

się na historji wiadomości, mamy dopiero od XVIII w. W początkach tego stulecia, tak, jak kiedyś w Bozen, aby odwrócić groźbę wojny, ślubują mieszkańcy Thiersee odegrać widowisko o Męce Pańskiej. Budują też pierwszy teatr. Jednak wiek ten nie jest pomyślny dla rozwoju widowisk. Tyrolczycy napotykają na olbrzymie trudności ze strony władz, które w wieku oświeconym niechętnie patrzyły na tego rodzaju przedstawienia.

Dopiero wiek XIX, a zwłaszcza rok 1848 przynoszą zupełne wyzwolenie. Widowiska mogą się już rozwijać bez przeszkód.

* * *

W plastycznych, zwartych obrazach, pełnych dramatycznego napięcia i siły, widz przeżywa kolejno: upadek aniołów, pierwszy grzech w raju, narodzenie Zbawiciela, chrzest w Jordanie kazanie na górze, wjazd do Jerozolimy, ostatnią Wieczerzę, mękę Zbawiciela, Jego Ukrzyżowanie, wreszcie Zmartwychwstanie Chrystusa.



Zdjęcie z krzyża

Zbawiciel wraca na świat jako Zwycięzca, szatan zostaje pokonany. Te deum jest wspaniałym finałem dramatu.

Barwny, jędrny, bogaty język i potęgę słowa — wzmacnia muzyka, znakomicie dostosowana do treści widowiska; tworzy ona z tekstem piękną, harmonijnie zespoloną całość.

Na najwyższą pochwałę zasługują też dekoracje, wykonane przez jednego z najlepszych malarzy tyrolskich, Ernsta Nepo, który od wielu lat jest dekoratorem scenicznym teatru w Innsbrucku. Doskonały tekst, muzyka i dekoracje nie miałyby jednak uroku, gdyby odtwórcami byli marni aktorzy. Aktorami w Męce Pańskiej są chłopi, mieszkańcy Thiersee. Wszyscy grają z zapałem i najwyższą radością, uważając to sobie za zaszczyt, a nawet za posłannictwo, gdyż chcą w zmaterjalizowanym świecie wskrzesić na nowo ideę Nauki Chrystusa.

Przejęci do głębi tą myślą, poświęcają nieraz tej misji wszystkie swoje siły, a nawet osobiste szczęście: odtwórczyni Matki Boskiej np. nie może myśleć o małżeństwie i miłości, bo tak chce stara tamtejsza tradycja.

W tym roku jubileuszowym tę piękną i trudną rolę wzięła na swe barki Kathi Juffinger, właścicielka niewielkiego sklepiku w Thiersee. Należy ona do starej rodziny, która odgrywała ważną rolę w życiu tamtejszej gminy i rozwoju widowisk pasyjnych.

Kathi odtworzyła swą rolę bez zarzutu. Nic dziwnego: żyje ona, wgłębiając się ciągle w dzieje Matki Jezusa, a rolę swą uważa za najwyższe szczęście.

Partnerem Kathi był Alojzy Kaindl — cieśla.

Wprost nie do uwierzenia, jak prosty człowiek potrafił wczuć się w tę wielką i trudną rolę. „Bogu na chwałę, ojczyźnie na pożytek gram" — powiedział, a te słowa mówią, czem jest dla niego udział w widowisku. Mniejsze role odegrane zostały znakomicie. Całość zostawia na widzach niezapomniane, silne wrażenie.

Janina Kapuścińska.



Kulminacyjna scena ukrzyżowania

H. KOROLEC-BUJAKOWSKA

KOSZYKOWY RYNEK

Korespondencja własna z Shanghaju

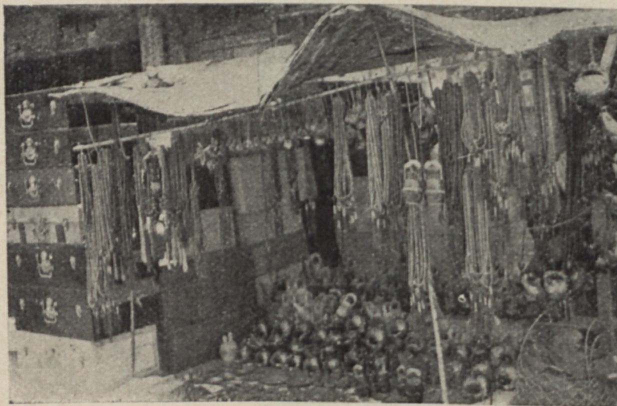


Tłum targuje i bawi się, a oko policji czuwa z góry i zdołu

Bywa to raz w roku w końcu maja. Wspaniała zabawa dla międzynarodowego Shanghaju, gdy na strojne wystawy eleganckich sklepów Bubbling Well Road wtargnie kolorowy tłum przekupniów, roztasuje przeróżne stragany pod parasolami, w szatrach z mat — krzywo, prosto, łatano.

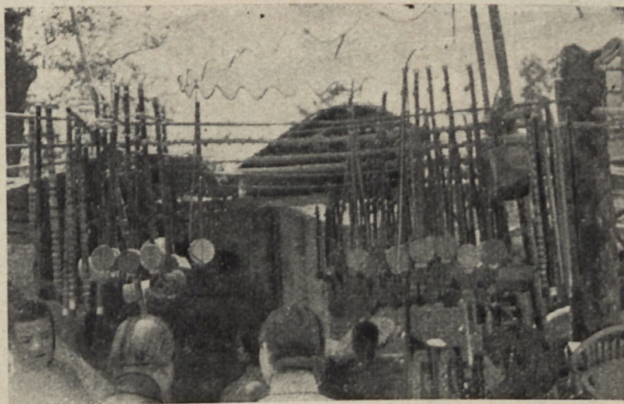
Całe to obozowisko rozwala się na szerokich chodnikach, skrajami zabiera jezdnię. Powiewają chorągwie, szyldy, reklamy. Krzyczą megafony i zdrowe gardła — nie gorzej megafonów.

W tym roku Shanghai był niezadowolony. Starzy bywalcy jeszcze nie widzieli tak skromnego rynku. Kryzys odbił się nie tylko na ilości i jakości towarów, ale również na stronie dekoracyjnej. Nie było wspanialszych bram tryumfalnych, lampionów i innych szykan dla olśnienia i przyciągnięcia oka widza.



Pod krytym dachem z mat kołatki, gongi i różańce — kufry bokiem przy nich siedzą

Pomysłowy przekupień naczyń kuchennych, nożyc i noży był ośrodkiem ściągającym zachwyty gapiów,



Pod chińskim parasolem pyszni się komplet instrumentów do doskonałej „kociej muzyki"

bo on jeden wystąpił z rozmachem dawnych lat, aplikując przed swym straganem gigantyczne nożyce.

Przez cały tydzień Shanghai kupuje koszyki, wierząc głęboko że łapie świetną okazję — wyjątkowo tanio. Specjalnie ostatniego dnia, gdy chłopek z wioski sprzedaje za grosze, byle się pozbyć towaru. Chłopek znów nie taki głupi, zresztą na palcach ich zliczyć można w powodzi sklepikarzy z chińskiego miasta. Ostatniego dnia ceny są najwyższe. Przez siedem innych też nie mniejsze niż w sklepach droższych dzielnic Shanghaju.

Nie idzie o cenę — ale o przeświadczenie. To też panie kupują wyplatane meble, koszyki i moc nie potrzebnych drobiazgów nazywanych tutaj potocznie „very useful".

Przeważnie oblężone są stragany, gdzie przekupień mówi chociaż parę słów po angielsku. Jest satysfakcja rozmowy i długiego targu— i te są najdroższe. Chłopek nie mówi, nawet nie rozumie. Chyba po swojemu ktoś zagada. I chłopek naprawdę sprzedaje za grosze: hafty własnej roboty, przetaki na ryż, instrumenta muzyczne, lakowane gongi, na poczekaniu ohebluje krążek z drzewa na stolnicę... o tem trzeba wiedzieć. Trzeba być starym bywalcem rynków, albo przypadkowo prawdziwym sympatykiem Chin, kolekcjonerem ludowych wyrobów, nie dla ich użyteczności — a charakterystycznego wdzięku.

Mimo uszczuplenia splendoru dawnych lat rynek optycznie był bardzo ładny, barwny i żywy. Chociaż przez jeden tydzień na ulicy Shanghaju było się trochę w Chinach. Na wszelki wypadek czuwały



Kobiałki na ryż, czarne parasole i męska bielizna

wzmocnione patrole policji, Penjabi na koniu, Chińczyk pieszo. Przecież w rozbawionym tłumie mogą zajść małe pomyłki co do kieszeni i stragany są otwarte na zasięg każdej „długiej" ręki.

Nie minął tydzień nawet — śladu nie pozostało z rynku. Ulica wróciła do swego zachodniego stylu, koszyki i ich sprzedawcy na chiński teren. „Wszystko na właściwem miejscu".



Doktór zwołuje pacjentów przez megafon i żbiczym okiem upatruje w tłumie ofiary

Wyrób na poczekaniu— stolnice lśnią w słońcu jak dyski



Wszystkie zdjęcia St. Bujakowskiego

GUSTAW OLECHOWSKI 26)

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

POWIEŚĆ

Zim początkowo bawił się tem nieźle, ale w końcu był przerażony bezmiarem głupoty, złości i upadku moralnego. Minister miał poważny kłopot.

Poznał bliżej Zima i uległ nakazowi jego indywidualności. Czuł doskonale, że Zimowi stanie się wielka krzywda której on będzie wykonawcą, ale na to w tej konjunkturze niema rady.

Obserwował teraz na Zimie, jak łatwo jest potępić człowieka, gdy go się nie zna, a jak trudno sądzić, gdy się go poznało i jak coraz trudniej jest wydać wyrok w miarę, jak się głębiej rozumie istotę czynów.

Willy miał wyjechać za kilka dni do Hagi z ojcem i Niną, by likwidować swój oficjalny stosunek z rządem, choć stary Cornelius miał nadzieję, że uratuje karjerę syna przez swoich *braci*, którym wyperswaduje, jak to już był do pewnego stopnia uczynił, że nie należy zabijać, czego zabić się nie da, lecz raczej czuwać i wyciągać kasztany z ognia, albo też — przez partję katolicką, która była w tym w czasie do poważnych w Holandji doszła wpływów, a w której tkwił, jako urodzony w rodzinie katolickiej. Był też delegowany do tej partji przez swoich mocodawców ideowych. Będzie się starał w każdym razie wpłynąć na wypadki tak, by Willy pozostał w dyplomacji. Znał Willy'ego lepiej, niż on sam siebie. Posiadał bowiem horoskop astrologiczny syna, którego mu nigdy nie ujawnił, a który wyraźnie mówił, że chwila urodzin Willy'ego dała mu silny intelekt i wielką ruchliwość życia wewnętrznego, ale jednocześnie bierność akcji politycznej, bo sam nie zdobędzie sobie autorytetu, więc może go mieć jedynie z sytuacji życiowej, jaką naprz. daje dyplomacja. Że trzeba mu dać majątek, bo sam go nie zdobędzie. Że szczęśliwie się stało, że Nina zeszła z jego drogi, bo element kobiecy ma na jego syna wpływ ujemny. Że Willy jest domatorem i że nigdy nie uda się wciągnąć go w wir związków tajnych, bo człowiek urodzony w takich warunkach kosmicznych jest skłonny do życia uregulowanego, jawnego, solidnego, i ma silną uczuciowość, która teraz sprawi, że zawód w miłości do Niny na zawsze zrazi go do nowych poczynań sentymentalnych. Wprawdzie jest to smutne, bo ród Corneliusów zaginie, ale co robić! Napewno Nina da mu wnuki. Może sobie Willy jednego chłopczyka adoptować i zrobić z niego holendra.

Tak sobie rozmyślał Jan Van Cornelius pakując walizki.

Nina początkowo nie chciała jechać. Myśl opuszczenia Kazimierza w chwili, gdy jej potrzebował w nowej wlace, która stała przed nim, wydawała się jej nieznośną.

— Casimir, zostań jeszcze tu i czekaj na mnie. Ja za kilka dni wrócę.

— Dzieciństwo... Skąd wiesz, że wrócisz?

— Jakto skąd wiem? Bo chcę!

— Może ci ojciec nie pozwolić.

— Nie jestem jeszcze do tego stopnia przerobiona na wasz fason, by mi ktoś mógł coś pozwolić, lub nie.

— Jesteś tymczasem zależna od swego papy materjalnie.

— Ale nie mogę zostawić cię w takiej depresji.

— Depresji? Żartujesz chyba. Nie bywam nigdy w depresji. Po prostu ostatnie wypadki dały mi smutne refleksje, bo przekonałem się, że jeszcze nie zaraz przyjdzie wyzwolenie, że jeszcze narody chcą koniecznie pokrwawić, właściwie to nie narody, tylko rządy. *It's a long way to Tipperary.*

Nina załamała ręce.

— Dlaczego, dlaczego...

Zim kochał ją w takich momentach. Widział w niej

wówczas ten najpiękniejszy rys — zatopienia egoizmu w problemach powszechności. Piękna była w takich momentach. Rozszerzały się jej źrenice, podnosiły powieki, twarz cała szlachetniała i nabierała matowej bladości.

— Dlatego, kochanie, że taka jest tragedja rządzących. Nie mają czasu myśleć, nie mają odwagi wrócić do książki, wolą ryzykować życie niż władzę, nie mogą sobie wyobrazić politycznej śmierci, bo mają słabą wyobraźnię, wpadają w zarozumiałość, zresztą — jest im zbyt dobrze, więc nie pragną zmiany.

Nina spędziła u Zima ostatnie godziny.

Nastrój był fatalny. Wpadła w pesymizm.

— Więc tak... Rozjeżdżamy się i nie wiemy kiedy się zobaczymy.

Chodziła po pokoju, co jej się nigdy nie zdarzało. Wyrzucała z siebie przykre dla Zima słowa:

— ...i czy wogóle kiedy ujrzymy się jeszcze...

Kazimierz zmarszczył się groźnie:

— Nie róbże sentymentów! Rozumiesz chyba położenie, w jakiem się znalazłem, z całą zresztą świadomością. To co spotkało już Willy'ego — mnie spotka lada dzień. Ale Willy jest bogaty — ja biedny. Muszę wracać do kraju i znaleść nową kolej życia materjalnego, zarobkowego. Gdy tylko się urządzę jako tako, przyjedziesz do mnie.

— Nie bądź naiwny i słuchaj, co ci powiem...

Stanęła przed Kazimierzem, który siedział w głębokim fotelu, wpatrzony w smukłą sylwetę Niny...

Wziął już na siebie jej los i czuł teraz troskę o jej szczęście. Związał ją ze swoim dramatem i widział pierwszą chmurę, jaka zawisła nad nią. Gorycz rozstania odczuwał za dwoje, choć starał się rzecz bagatelizować.

— Papa powiedział mi, że cię bardzo lubi za to, że ja cię kocham i że ty mnie kochasz i że w każdej chwili da mi tyle pieniędzy, ile będę chciała.

I usiadła mu dziecinnie na kolanach.

— To się cieszę. Kup sobie, co ci będzie potrzeba.

Nina się obraziła.

— To ty mnie nie kochasz...

— Prawdopodobnie cię kocham...

Uśmiechnął się.

— Żeby nie to, że masz taki dobry uśmiech, w którym widzę całe twoje złote serce, tobym cię wytargała za uszy za to „prawdopodobnie".

— A bo ja nie wiem, czy cię kocham. Wiem tylko że jesteś jedyną kobietą, która mnie interesuje i która nigdy mnie nie nudzi. Że twoje tylko promienie są mi miłe. Że jeżeli pragnę mieć dzieci, to z tobą. Że dla ciebie gotów jestem na każde poświęcenie i że nie wyobrażam sobie, bym mógł cię kiedy opuścić...

Objęła ramionami jego głowę, przytuliła mocno do serca i milczała długą chwilę... Wreszcie wyszeptała:

— Och, Casimir, jakiś ty kochany za to, żeś taki dziwny...

— Dobrze... Tak dobrze, Nino...

Milczeli długo jeszcze, wreszcie Zim opanował wzruszenie i głosem pewnym już tłumaczył jej:

— Musisz pojechać teraz z ojcem i z bratem do domu, do twego nowego domu. Musisz poznać twoją nową ojczyznę. Rozstanie dobrze nam zrobi. Zobaczymy, jak się będziemy czuli — w separacji. Jeżeli źle, no to będzie dobrze, a jeżeli dobrze — to bardzo źle...

Roześmieli się obydwoje naraz.

— Będziesz do mnie pisała?

— Codzień, Casimir...

— A ja nie codzień, bo nie będę miał czasu. Ale ciągle będę myślał o tobie, o ile nie będę myślał o czem innem...

— To pozwalam, abyś tylko nie myślał o — kim innym...

Zim postanowił zmusić jutro Ministra do decyzji.

Rozmawiając o kongresie — patrzał w oczy Ministra tak potężnym nakazem, że ten uległ:

— Możecie sobie panowie powinszować. Narobiliście bigosu. Osiągnęliście rezultat, ale destrukcyjny.

— Zrujnowaliśmy sens kongresu, raczej bezsens, oczywiście.

— No i co dalej?

— Teraz wypadki potoczą się zupełnie logicznie. Kongres zamrze z wyjałowienia i z obłudy. Cornelius już otrzymał dymisję, ja będę odwołany do centrali, poczem będę przeniesiony w stan spoczynku. Pracy żadnej w kraju nie znajdę, bo mnie wszyscy potępili. Będę musiał emigrować. Ponieważ jednak trudności

gospodarcze i polityczne na całym świecie będą się zwiększały z dniem każdym, więc zaczną sobie ludzie nas przypominać, tu i owdzie. Ja jeszcze wysoko zajadę, panie Ministrze. Jeżeli jestem lekarzem — będę wezwany do chorego zaraz. Jeżeli zaś jestem znachorem — będę wezwany później, gdy już będzie beznadziejnie. Ale będę wezwany napewno. Wolałbym, by pierwsza wezwała mnie Polska. Ale nie odmówię pomocy każdemu, kto pierwszy dojrzeje.

Minister spoglądał na niego z ukosa pragnąc przeniknąć tajemnicę, która się za temi słowami kryła: jasnowidz czy megaloman, fanatyk wielkiej idei czy aktor. W każdym razie nie nadaje się na podwładnego.

— Ja pana tak wysoko cenię, panie Kazimierzu (nigdy go przedtem po imieniu nie nazywał), że przenosząc pana w stan spoczynku wyrobię panu czwarty stopień służbowy, żeby pan miał większą emeryturę.

— Dziękuję panu ministrowi...

Zim w duchu ryczał ze śmiechu, stwierdzając już pierwszy dowód swojej nieomylności w ocenie rzeczywistości. Ale twarz utrzymywał w powadze, nie chcąc ośmieszać ministra.

— Przypomina pan sobie, panie ministrze, ze starego testamentu, jak prorocy mieli system przepowiadając rzeczy dalsze, których słuchacze nie mieli możności sprawdzić, jednocześnie prorokować wypadki najbliższe, by dać się ludziom przekonać. Skoro jedno się sprawdzi, dlaczego nie miałoby się sprawdzić drugie.

— Do czego pan prowadzi?

— Bo już się sprawdziło, co przepowiedziałem o dalszych moich losach służbowych.

Minister zlekka się zarumienił.

— Przecież pan chyba zdaje sobie sprawę, że ja nie mogę pana nie zdezawuować. Sam pan to przewidział zgłaszając dymisję. Interes Państwa wymaga, by nasz poseł tutejszy, należąc do delegacji na kongres, zasiadał w komisjach. Pan tu ma wiele sympatji, stwierdziłem to wielokrotnie, więc jeżeli pana zbojkotowano w pracach kongresu, to dlatego, że odczyt pański rozumiano jako dysharmonizujący ze stanowiskiem rządu.

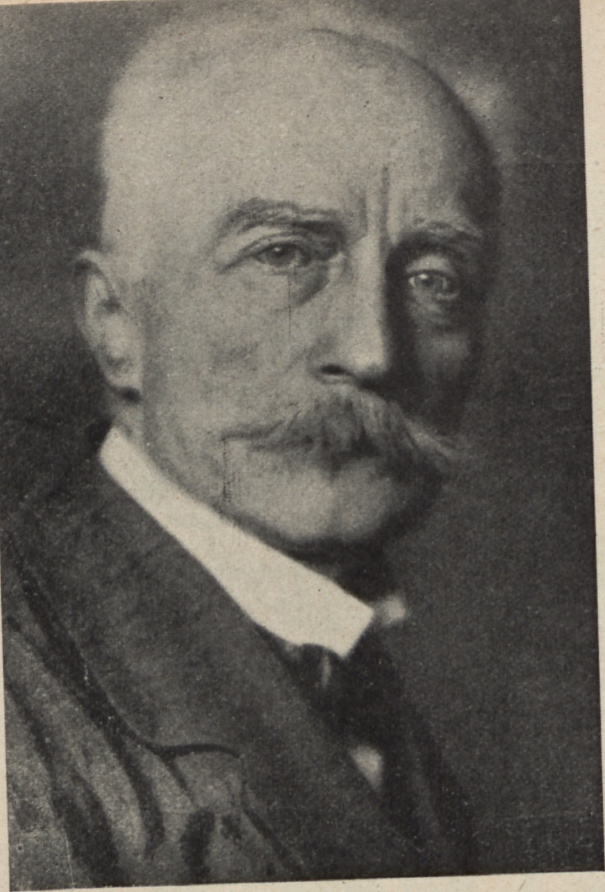
— Nie mam żadnej o to pretensji do pana ministra, że mnie usuwa ze służby oficjalnej, prosiłem o to, myślałem jednak, że pan minister zainteresuje się tą filozofją nad filozofjami, że mnie poleci rządowi jako fachowca do spraw ustrojowych.....

— To nie jest wyłączone, panie Kazimierzu. Niech pan po powrocie do kraju założy jakiś Instytut Badań Ustrojowych, czy coś w tym rodzaju. Po pewnym czasie może się pan jeszcze bardzo przysłużyć krajowi. Może rzeczywiście zrobimy pana Radcą Stanu...

Zaśmiał się.

Zim przejrzał go na wylot: — co za instynkt samozachowawczy, co za intuicja! Już się ubezpiecza! Genjalna głowa!

(D. c. n.)



Aleksander Augustynowicz

Z WYSTAWY JUBILEUSZOWEJ ALEKSANDRA AUGUSTYNOWICZA W „ZACHĘCIE"

Tow. Zachęty Sztuk Pięknych zorganizowało jubileuszową wystawę prac A. Augustynowicza w 50-lecie jego działalności artystycznej. Zgromadzono prawie setkę prac artysty z różnych epok i z różnych dziedzin. Są tu portrety — indywidualne i zbiorowe — są krajobrazy, studja typów ludowych, kwiaty, etc. Malarstwo Augustynowicza od wielu lat znane miłośnikom sztuki w Polsce, jest wyrazem kierunku realistycznego, który artysta przejął w swej młodości w uczelni krakowskiej i monachijskiej. Aczkolwiek dzisiaj kierunek ten nie znajduje oddźwięku, wielu jest jednak amatorów solidnego malarstwa Augustynowicza, który przez całe życie kroczył nie zbaczając po drodze, obranej w młodości. Sztuka sumienna na rzetelnych studjach oparta, stanowi wyraz dążeń tego artysty. Wśród portretów najlepszy jest portret Ireny Solskiej z roku 1901-go. Większość portretów Augustynowicza znajduje się w muzeach Krakowa, Lwowa, Bydgoszczy i stamtąd przybyły one na jubileuszową wystawę, która pomyślnie spełnia swe zadanie zobrazowania całokształtu twórczości jednego z najpopularniejszych artystów starszego pokolenia.



Aleksander Augustynowicz — *Stary kościołek w Rabce*



Aleksander Augustynowicz — *Urszulanka*

BEZ OGRÓDEK

Premjer przed sądem opinji

Belgja jest poruszona. Belgja oczekuje walki. Walki w samej stolicy, w Brukseli. Walka bezkrwawa ale niemniej zasadnicza dla reżymu, dla rządu, dla ustroju państwa. Stronnictwo, któremu przewodzi młody, ambitny gwałtowny, działacz Leon Degrèlle, stronnictwo opozycyjne doprowadziło do konieczności wyborów uzupełniających w jednym z okręgów Brukseli. Stronnictwo Degrèlle'a „Rex" przez zdobycie ponowne własnego okręgu zwiększoną ilością głosów postanowiło zadokumentować utratę wpływów przez grupy rządowe.

Sposób europejski. Sposób normalny — sprawdzian najlepszy — wybory. Degrèlle wystawił swoją kandydaturę. Wzmogło to szanse Rex'a". Wzmogło intensywność akcji propagandowej. W tym momencie nastąpiło „coup de theatre" — sam premjer belgijski Van Zeeland podjął rękawicę. Zgłosił swą kandydaturę. Na frontowy atak ideowy, odpowiedział frontowym kontratakiem ideowym. Premjer Belgji poddał się dobrowolnie sądowi wyborców. Nie musiał. Mógł wystawić jakiegoś czołowego kandydata. Nie chciał. Zwalczacie *mój* reżym powiedział rexistom dobrze *ja sam* będę go bronił. Ja biorę sztandar. Idę przed sąd opinji. Niech wyborcy, niech opinja zdecyduje. Mówicie, że z wami jest społeczeństwo. Zobaczymy. *Niech wybory rozstrzygną*. Daję wam równe szanse. Niezależnie od wyniku — trzeba przyznać, że rycerskie i mądre postawienie sprawy przez premjera Belgji — zdobyło mu słowa uznania nawet u przeciwników.

Dostał nagrodę i... cudzą brodę

Państwową nagrodę plastyczną przyznano świetnemu malarzowi, prorektorowi Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie Piotrowi Weissowi. Znakomity artysta ma za sobą 40 lat wytrwałej, sumiennej pracy, którą wsparł swój wielki talent, znakomite poczucie koloru i wielką umiejętność rysunku. Cały świat artystyczny i miłośnicy piękna gorąco przyklasnął temu wyborowi. Aliści... aliści Piotr Weiss poza nagrodą otrzymał jeszcze inne odznaczenie. Jedno z pism warszawskich obdarowało go poprostu... magicznie. W ciągu jednej nocy dało mu... *piękną brodę*. Weiss stale wygolony gładki o twarzy kanciastej, podłużnej, nagle zaokrąglił się, spoważniał i zapuścił wprost... ekspresową brodę, rosnącą widać z szybkością 100 milimetrów na godzinę, skoro od wieczora do poranka stała się ona obfita, puszysta i dostojna.

Jeszcze jedna umiejętność laureata? Nie. Poprostu cudza broda! Broda rzeźbiarza Breyera. I fotografja rzeźbiarza Breyera! Ciekawe, co kto komu teraz odda: czy Weiss Breyerowi nagrodę czy Breyer Weissowi brodę? Obaj są już laureatami stać ich na zamianę!

„Nie wolno mu wierzyć!"...

W jednym z ostatnich numerów poruszyliśmy stosunek urzędników skarbowych do obywateli. Dowodziliśmy, że nie wolno 30 miljonów obywateli à priori traktować jak przestępców. W tej sprawie od jednego z naszych czytelników otrzymaliśmy list, który niemal w całości drukujemy.

„Należę do płatników — pisze nasz czytelnik — którzy mało skarbowi przynoszą, bo już mało mają, ale staram się wszystko płacić jaknajregularniej, a zeznania moje składam z maksymalną dokładnością. Zdarza mi się zalegać. Ale wpłacam raty i chcę płacić.

Przedwczoraj zjawia się u mnie sekwestrator.

„Za co?"

— Zalega pan z podatkiem lokalowym.

„Zapłaciłem 4 lutego".

— To niemożliwe, miał pan upomnienie.

„Tak jest, w dwa tygodnie po zapłaceniu".

— Nie reklamował pan.

„Wolałem stracić 1 zł. 50 niż dwie godziny pracy zarobkowej i biegać do urzędu, ażeby mówić o wpłacie. W każdej instytucji finansowej, *skoro jest coś zapłacone*, nie jest to tajemnicą dla ksiąg, władz inkasujących i kasy".

— Ma pan kwit?

„Mam".

Tu zaczyna się moja tragedja. Mój kwit leży w szufladce, od której kluczyk jet na stole pod rajzbretami, rysunkami, materjałami do pracy. Szukam w pośpiechu — *naturalnie* zapodziewa się. Im nerwowiej szukam, tym szelma kluczyk staranniej się ukrywa. Są takie złośliwe przedmioty.

„Robię zajęcie" — oświadcza mi urzędnik.

— Niechże pan da pokój — zapłaciłem, cytuję panu daty wpłat, dziś jest sobota, rano w poniedziałek przyniosę panu kwit do urzędu. — chyba może mi pan uwierzy na czas jednego dnia?

Mnie nie wolno wierzyć — oświadcza mi z rozbrajającą dobrodusznością urzędnik skarbowy, który nawiasem mówiąc cały czas zachowywał się zupełnie poprawnie.

Jemu *nie wolno* wierzyć: oto jest nastawienie ogólne. Nie wolno mu *ufać wszystkim* obywatelom. Nie może zorjentować się, że są tacy, co nie chcą oszukiwać skarbu, co swój *akces do akcji* zmierzającej do potęgi państwa składają nie w efektownych depeszach, lecz w realnym spełnianiu obowiązków. Jemu nie wolno wierzyć, ale jego koledze *wolno się mylić* lub niedbale pracować — *nakazując egzekucję za opłacone już raz podatki!* To temu drugiemu urzędnikowi wolno? Naraża swego kolegę na stratę czasu, obywatela na przykrości, płatnika na tracenie czasu — aby legitymować się kwitem z przed sześciu tygodni! A to wszystko przecież kosztuje! kto te straty państwu i płatnikowi wyrówna?

— Panie Redaktorze kończy nasz czytelnik — sprawa żądania opłat za *opłacone już raz podatki* — to bolączka, na którą muszą zaradzić wyższe sfery min. skarbu. Płatnicy poraz drugi niepokojeni bezzasadnie — muszą mieć jakąś satysfakcję. A przecież to również kompromituje księgowość tej instytucji finansowej, która domaga się niesłusznie, a tak... agresywnie".

Słuszny wydaje nam się ten głos i te refleksje. Żądanie opłaty poraz drugi, to... nagminna bolączka. Nazwijmy to tylko tak. Usunięcie tego niedomagania i danie satysfakcji niesłusznie niepokojonym — to konieczność więcej niż paląca

Serce Warszawy

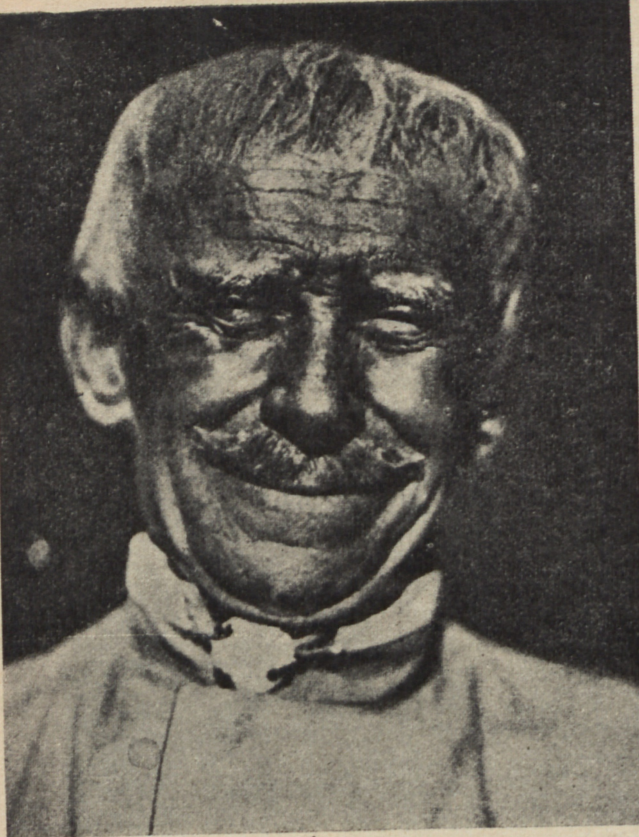
Ktoby pomyślał, że serce Warszawy jest w błocie!

Jakto?

A. no: stale słyszymy, że ogród Saski jest sercem Warszawy. Tyle piszemy o pięknie Warszawy, kwiatach a tymczasem! Tymczasem ogród Saski tonie w błocie. Wózki z dziećmi stoją niemal w kałużach. Roztłamszone błoto pod nogami bawiących się dzieci. Oto obraz dni ostatnich. Powie ktoś: wiosna, roztopy! Nic podobnego! Wodę z kałuż może odprowadzić paru bezrobotnych. A zasadniczo zdrenowanie choćby częściowe, przy uliczkach, lub wycementowane rynsztoki, lub odpływowe studzienki, byłyby inwestycją drobną a w efekcie olbrzymią.

„Serce Warszawy" nie byłoby w błocie.

Obywatel Zero.



Solski jako „Pan Jowialski“ Fredry

ŚWIAT TEATRU

Teatr Letni. *„Jutro niedziela“ — H. Adlera i Perutza. Reżyserja Warneckiego. Dekoracje L. Cegielskiego.*

Ciekawe ile osób na widowni „zrozumie" dreszczyk niepokoju, zasychające gardło, nerwowe odruchy rąk głównego bohatera sztuki Adlera i Perutza

Ile osób w tych czasach, gdy rubryka defraudacji jest tak bogata w każdym piśmie codziennym, moralnie życzyć będzie zwycięstwa „złu".

Ile osób drżeć będzie na myśl, że defraudanta dosięgnie kara. Wyszliśmy z pieluszek sentymentalizmu. Minęły te śmieszne, komiczne parafiańskie czasy, gdy widownia dobrze się czuła tylko wtedy, gdy „czarny charakter", uwodziciel, złodziej ugiął się pod triumfem moralności! Dziś ten zamierzchły parafianizm dogasa — mówimy oczywiście nie o poziomie prawdziwej sztuki, ale o sztuczkach i o bombach sensacyjnych, w rodzaju „bomki" pp. Adlera i Perutza.

W czasach obecnych, czasach... wielkości, olbrzymiości... dla defraudantów ma się wyrozumiałość, życzliwość niemal. Tak się ustosunkowali i autorzy wiedeńscy, przemycając tę życzliwość cały czas. „Czyż jedenaście lat wiernej, oddanej służby się nie liczy?" woła na swe usprawiedliwienie defraudant Perutzowski. Te jedenaście lat — ma być okolicznością łagodzącą. Tak rozumując à la Adler i Perutz, przy latach 20-u defraudacja będzie obowiązkiem, a po 25-u w konsekwencji domagać się winna krzyża zasługi. Występkiem więc jest defraudacja tylko w pierwszym, drugim roku pracy, tylko wówczas... nie zawsze jest możliwa.

Pochwała defraudacji przeprowadzona w sztuce Perutza i Adlera jest bardzo na czasie. Choćby z tej racji sztuczka może liczyć na powodzenie. A że pod względem teatralnym zrobiona jest poprawnie chwilami nawet zręcznie, więc powodzenie i oddźwięk murowane. Przyczyni się też wielce do tego dobra reżyserja, doskonałe opracowanie i wyjątkowo równa, dobra gra całego zespołu artystów.

Warnecki, jako kupiec - defraudant, borykający się ze zmorą rewizji kasy, doskonale cieniował „dno rozpaczy", oraz krzesał „iskierki nadziei". W tym miocie życiowym znalazł on różne tony, zarówno emocji i ludzkiego przerażenia na myśl o ukochanej córeczce, jadącej pociągiem, który się wykoleił, jak i zwierzęcy odruch gangsterowskiej radości, gdy sądził, że w katastrofie zginął jego oczekiwany pogromca — rewident kasy! Sylwetkę człowieka słabego w nieszczęściu, chama wobec bezradnego teścia, zadufanego w chwili ratunku opracował ten zdolny artysta z wielkim umiarem i talentem. A że i za reżyserję należą mu się słowa uznania, więc był to istotnie wieczór jego zwycięstwa. Pozostałe role, to raczej epizody. Ale wśród nich był Fertner, w roli zdziecinniałego teścia! Fertner pogłębiony, jowialny, dobroduszny, rzadko sięgający do arsenału swych niezawodnych atutów i gierek — i właśnie dlatego bliższy, cieplejszy, prawdziwszy, komiczny a... doskonały. Jednolitą w tonie, zwartą sylwetkę dał Skonieczny. Nie miał w sobie nic ze swych płytkich, płaskich monologów — ukazał się ze strony istotnie artystycznej. Podobnie zwarty „totalnie" nieugięty, inkwizytorski, precyzyjnie grający na jednym tonie był rewident—Karczewski. Frenkiel dał świetną sylwetkę, upadłego, wykolejonego mecenasa, udzielającego w nocnej knajpce pokątnych rad. Maska, gesty, sposób bycia, akcentowanie — wszystko było wyraziste, wzorowe. Grabowski — tym razem bez szarży dał wykwint wydrwigrosza. Role kobiece są niemal żadne. Brzezińska jeszcze raz zadokumentowała, że jest artystką inteligentną, miłą, niewyzyskaną i rzadko dobrze obsadzoną. Bukojemska przypomniała się dobrą dykcją i zdolnością groteski. Tiche wyrazistością i dobrą sylwetką. Borowy włożył w swą rolę wiele nerwów, wysiłku, ale był aż nużący. — Tak zachowuje się naczelnik stacji... przed katastrofą, którą podobnym zachowaniem musi wywołać. Całość gry bardzo dobra. Dekoracja hali kolejowej udana w swym naturaliźmie.

L. Ch.

Sukces „Japońskiego roweru" w Poznaniu

Teatr Nowy w Poznaniu wystawił komedję Tadeusza S. Chrzanowskiego „Japoński Rower". Nowa komedja, która po raz pierwszy wystawiona była w Wilnie i odniosła tam wielki sukces — nie zawiodła i w Poznaniu. Przyjęta życzliwie przez prasę i entuzjastycznie przez publiczność, cieszy się wielkim po-

wodzeniem, a niemilknące brawa przy otwartej kurtynie świadczą, jak bardzo są pożądane i lubiane lekkie utwory komedjowe. Stwierdza to krytyk „Dziennika Poznańskiego" p. J. Koller, w następujących słowach: „na święta narodowe, otwarcia sezonu, uroczyste obchody, mamy Słowackiego, Wyspiańskiego i Fredrę, ale tak „nacodzień" żyjemy Bus - Feketem i Fodorem".

Prasa nie szczędzi pochwał pod adresem autora. „Dziennik Poznański" mówi: „Chrzanowski wykazuje znaczny nerw sceniczny, wiele świeżego humoru, co pozwala oczekiwać, że da naszemu teatrowi niejedną dobrą rzecz z tak ubogiego repertuaru na codzień. Kurjer Poznański i Dziennik Poranny piszą o „Japońskim Rowerze" bardzo przychylnie, a ten ostatni kończy: „Komedja posiada sporą dozę humoru i dowcipnych powiedzonek, nieraz mocno aktualnych, które też nie padają w próżnię, lecz wywołują salwy śmiechu i gromkie oklaski przy otwartej kurtynie". Premjera była wielkim sukcesem gościnnie występującej w Poznaniu Lili Zielińskiej, którą witano licznemi koszami kwiatów. Z zespołu wyróżniali się: Ir. Kwiatkowska, J. Korecka, Lubicz-Lisowski i J. Tylczyński.

J. Row.



Lili Zielińska i Lubicz-Lisowski w komedji „Japoński rower"



Królikowska, Korecka, Tylczyński i Kwiatkowska w komedji „Japoński Rower"

ANTONI CZECHOW

NIEPRAWE DZIECKO

Tajny radca Migujew odbywając swą codzienną przechadzkę zatrzymał się przy słupie telegraficznym i westchnął głęboko. Przed tygodniem, gdy wracał wieczorem ze spaceru, dopędziła go w tym samym miejscu dawniejsza pokojówka Agnieszka i krzyknęła ze złością:

— Poczekaj! Takiego ci bobu zadam, że przekonasz się czem to pachnie gubić niewinne dziewczęta! I dzieciaka ci podrzucę i do sądu podam i żonie twojej wszystko opowiem..."

I zażądała, żeby złożył na jej imię do banku pięć tysięcy rubli. Migujew przypomniał sobie to, westchnął i znowu robił sobie wyrzuty za chwilowe uniesienie, które przy niosło mu moc kłopotów i cierpień.

Doszedłszy do swej willi, Migujew usiadł na ganku, aby odpocząć. Była godzina dziesiąta i z poza chmur wyjrzał księżyc. Na drodze i koło domu nie było nikogo: starsi poszli już spać, a młodzież spacerowała w lesie. Szukając w obu kieszeniach zapałek, aby zapalić papierosa, dotknął łokciem czegoś miękkiego. Spojrzał i na twarzy jego pojawił się wyraz takiego przerażenia, jak gdyby zobaczył żmiję. Na ganku przy samych drzwiach leżało jakieś zawiniątko. Coś podłużnego było zawinięte, sądząc po dotknięciu, w szydełkową kołderkę. Jeden koniec zawiniątka był trochę odsłonięty i radca wsunąwszy rękę dotknął czegoś miękkiego i wilgotnego. Przerażony skoczył i obejrzał się jak przestępca, chcący uciekać przed policją.

— A jednak podrzuciła! mruknął przez zęby z wściekłością ściskając pięści. I to leży... leży... nieprawe! O Boże!

Zmartwiał ze strachu, wściekłości i wstydu... Co teraz robić? Co powie żona, jeśli się dowie? Co powiedzą koledzy? Jego ekscelencja poklepie go pewno po brzuchu, parsknie i powie: „Winszuję:... he he, he! W starym piecu djabeł pali..." Całe letnisko dowie się teraz o jego tajemnicy i szanowne matki rodzin prawdopobnie wymówią mu dom. O podrzutkach piszą we wszystkich gazetach i tym sposobem uczciwe nazwisko Migujewa będzie obnoszone po całej Rosji... Środkowe okno willi było otwarte i słychać było wyraźnie jak Anna Filipowna, żona Migujewa sprzątała ze stołu po kolacji. Na podwórzu zaraz za bramą stróż Jermołaj brząkał żałośnie na bałałajce. Jeśli dzieciak obudzi się i zapłacze, tajemnica wyda się. Migujew czuł, że należy się śpieszyć.

— Prędzej, prędzej... bełkotał. Dopóki nikt nie widzi. Zaniosę go gdziebądź, położę na jakimś ganku...

Wziął w jedną rękę tłomoczek i cicho, spokojnym krokiem, żeby nie wzbudzić podejrzenia, poszedł na ulicę... — Zdumiewająco wstrętna sytuacja — myślał, starając się nadać sobie obojętny wygląd. Tajny radca idzie z dzieckiem na ręku po ulicy! O Boże, jeżeli kto zobaczy mnie i zrozumie o co chodzi— zginąłem. Położę go na tym ganku... Nie... tu okna są otwarte i może kto patrzy. Gdzieby go? Aha, zaniosę go do willi kupca Mielkina... Kupcy, to ludzie bogaci i litościwi. Może jeszcze będą wdzięczni i wezmą go na wychowanie.

Migujew zdecydował się zanieść dziecko do Mielkina, chociaż willa jego znajdowała się w ostatniej ulicy letniska, koło rzeki.

— Żeby tylko się nie rozkrzyczał, albo nie wyleciał z zawiniątka — myślał radca. Co się to dzieje! Doprawdy nie spodziewałem się czegoś podobnego. — Niosę pod pachą żywego człowieka jak teczkę. Człowiek żywy z duszą, jak wszyscy... Jeśli w najlepszym razie Mielkin weźmie go na wychowanie, to może wyjdzie z niego ktoś taki... Może będzie profesorem, pułkownikiem, literatem... Wszystko jest przecież możliwe na świecie. Teraz niosę go pod pachą jak pakunek, a za 30—40 lat może trzeba będzie nisko mu się kłaniać. Kiedy Migujew szedł przez wąski pusty zaułek obok długich płotów pod czarnym cieniem gęstych lip, zaczęło mu się zdawać, że popełnia jakieś okrucieństwo i przestępstwo.

— A przecież to w rzeczywistości podłe! Tak podłe, że nic podlej-

szego nie możnaby wymyślić... Za co ja nieszczęsne dziecko podrzucam z ganku na ganek? Czyż ono winne, że się urodziło? I co ono mi zrobiło? Podły jestem... Tylko pomyśleć. Ja zbłądziłem, a dziecko czeka ciężki los. Podrzucę go Mielkinom, a Mielkinowie oddadzą go do przytułku, a tam wszyscy obcy... Wszystko urzędowe, żadnych pieszczot, ani miłości... Oddadzą go później do szewca, rozpije się, nauczy się wymysłów, będzie głodował! Do szewca... a przecież jest synem tajnego radcy z dobrej rodziny. I z krwi i kości jest mojej...

Migujew wyszedł na drogę zalaną światłem księżyca i rozwiązawszy zawiniątko popatrzył na dziecko.

— Śpi, szepnął. Patrzcie, nos ma lekko garbaty, ojcowski... Śpi i nie czuje, że patrzy na niego rodzony ojciec... A to dramat, bracie... Cóż, wybacz... bracie... Tak już widocznie sądzone...

Radca zamrugał i poczuł że po policzkach pełznie mu coś jakby mrówki. Zawinął dziecko, wziął je pod pachę, poszedł dalej. Przez całą drogę do willi Mielkina kłębiły mu się po głowie zagadnienia społeczne, a duszę gryzło sumienie.

— Gdybym był uczciwym człowiekiem — myślał — plunąłbym na wszystko, poszedłbym z dzieckiem do Anny Filipowny, upadłbym przed nią na kolana i powiedział: „Przebacz! Zgrzeszyłem, znęcaj się nade mną, ale nie zgubmy niewinnego dziecka! Nie mamy dzieci, weźmiemy je na wychowanie!" Dobra kobieta zgodziłaby się... I moje dziecko byłoby przy mnie... Eh!

Podszedł do willi Mielkina i zatrzymał się niezdecydowany. Wyobrażał sobie, że siedzi u siebie w gabinecie i czyta gazetę, a koło niego biega dziecko z garbatym noskiem i bawi się sznurem jego szlafroka. Jednocześnie wyobrażał sobie żarty kolegów i jego ekscelencję, klepiącego się po brzuchu... W duszy jego razem z wyrzutami sumienia osiadło coś miękkiego, delikatnego, czułego...

Tajny radca położył ostrożnie dziecko na stopniach werandy i machnął ręką. Po twarzy znowu popełzły mrówki... — Przebacz mi, bracie, podłemu! zamruczał. Nie wspominaj źle! Zawrócił, ale w tej chwili zdecydował się i krzyknął.

— Eh, było nie było! Pluję na wszystko! Wezmę go i niech ludzie gadają, co chcą!

Wziął dziecko i szybko zawrócił.

— Niech gadają co chcą — myślał — Pójdę, padnę na kolana i powiem: Anno Filipowno. To dobra kobieta, zrozumie... I będziemy go chowali. Jeśli chłopczyk to nazwiemy go Włodzimierz, a jeżeli dziewczynka to — Anna. Będzie na starość pociecha.

Zrobił tak, jak postanowił. Płacząc, umierając ze strachu i wstydu, pełen nadziei i nieokreślonego zachwytu, wszedł do domu i rzucił się na kolana przed żoną.

— Anna Filipowna — powiedział szlochając i kładąc dziecko na podłogę. Nie potępiaj mnie, pozwól się przebłagać... Zgrzeszyłem! To moje dziecko... Pamiętasz, Agnieszka, tak... diabeł opętał...

I pełen strachu i wstydu nie czekając odpowiedzi, zerwał się i jak wychłostany wybiegł do ogrodu...

— Zostanę tu, dopóki mnie nie wezwie — myślał. Dam jej czas przyjść do siebie i namyślić się.

Stróż Jermołaj z bałałajką przeszedł, spojrzał na niego i wzruszył ramionami. Po chwili znowu przeszedł i znowu wzruszył ramionami.

— A to historia, mruknął uśmiechając się. Przechodziła tu niedawno baba, praczka Aksenja. Położyła głupia, swoje dziecko na ganku i jak u mnie siedziała, ktoś jej zabrał dzieciaka... Też zdarzenie.

— Co? Co ty mówisz? krzyknął na cały głos Migujew.

Jermołaj, zrozumiawszy po swojemu gniew pana, podrapał się w głowę i westchnął.

— Przepraszam, Siemion Arastowicz — ale teraz czas lata, bez tego nie można... bez baby... to jest...

I spojrzawszy na wytrzeszczone, wściekłe, zdumione oczy pana, chrząknął i ciągnął dalej:

— No ma się rozumieć, grzech. Ale co robić... Pan zakazał puszczać baby, ale gdzie znaleść swoje? Pierwej jak tu była Agnieszka, nie puszczałem obcych — swoja była, a teraz pan widzi... bez obcych nie można się obyć. I przy Agnieszce nie było takich nieporządków, dlatego, że...

— Wynoś się łotrze! — krzyknął na niego Migujew i tupnął nogą. Wszedł z powrotem do domu.

Anna Filipowna zdziwiona i rozgniewana siedziała na tym samym miejscu i nie spuszczała zapłakanych oczu z dziecka.

— No, no, wyjąkał blady Migujew — krzywiąc usta w uśmiechu. Żartowałem. To nie moje a... praczki Aksenji. Zażartowałem... Odnieś je do stróża.

przełożyła
Zofia Rysińska.



CZY PANI WIE, ŻE...

...nad sprawą wyboru perfum należy się zastanowić. Pani naprawdę wytworna, to znaczy dbająca o własny styl, o własną indywidualność w stroju — nie zmienia perfum co sezon, dlatego, że nadeszła „najnowsza kreacja", którą sobie właśnie sprawiły wszystkie przyjaciółki. Pani naprawdę wytworna długo się waha, zanim sobie perfumy dobierze — ale raz dobrawszy, trwa przy nich conajmniej kilka lat. Kierowanie się w tym wypadku modą byłoby równie lekkomyślne, jak przy wyborze np. koloru sukni. A jeżeli w modnym kolorze nie jest pani do twarzy? Źle zrozumiana „elegancja" nie zastanawia się nad tem. Ale elegancja prawdziwa — owszem. Bo perfumy też mogą harmonizować albo nieharmonizować z pani rodzajem urody.

■

...trzeba wielu zalet, aby z powodzeniem prowadzić Salon Mody czy Dom Modelowy. Właścicielka musi posiadać wrodzony, niezawodny gust, musi mieć solidne przygotowanie fachowe, umiejętność wczucia się w typ urody klijentki a także w jej psychologję. Poza wszystkiem zaś—posiadać tę wrodzoną uprzejmość i osobisty wdzięk który jej zjednywa sympatję klijentek. Jak widzimy — zjednoczyć te zalety w jednej osobie nie jest łatwo. A jednak istnieje w Warszawie właścicielka Domu Modelowego, która je posiada: jest to niezmiernie wśród eleganckich warszawianek popularna pani Klementyna, właścicielka znanego Domu Modelowego firmy

KLEMENTYNA KOZŁOWSKA
Al. Jerozolimskie 37.

Jeżeli mam szybko i bez kłopotu wybrać ostatni model kapelusza, sukni czy kostjumu — z całem zaufaniem udaję się do przybytku elegancji, w którym króluje pani Klementyna. Wiem, że zawsze dobiorę model szykowny i modny, gdyż firma KLEMENTYNA KOZŁOWSKA stale posiada ogromny wybór najnowszych kreacji.

■

...narzeka się często na brak zarobków, a nikt nie wpadł u nas na pomysł, który zrealizowano w Paryżu z wielkiem powodzeniem. Powstała organizacja handlowa, założona przez „młodych" — mająca na celu dostarczanie wszystkich produktów spożywczych swoim klijentom. Pewnego dnia zjawia się w kuchni roznosiciel w białym fartuchu, przynosząc gotowy spożywczy koszyczek. Zawiera on narazie to, co sprzedawca uważał, że będzie dobre i dla domu odpowiednie. Przy odbiorze pani notuje natychmiast na karteczce zamówienie na dzień następny. W takim samym koszyczku, czysto i apetycznie zapakowane, otrzymuje oznaczonego dnia wszystko co zamówiła świeże, w doskonałym gatunku, bez zarzutu.

Oszczędza więc na służącej — może jej wogóle nie trzymać w tych warunkach. Oszczędza własny czas — może go poświęcić więcej wychowaniu dzieci, pracy umysłowej, czy domowej. I ma wszystko w domu odrazu, bez tracenia czasu i sił na nieznośne bieganie „do miasta".

Wartoby pomyśleć o tem i u nas. Warunek nieodzowny: pedantyczna czystość, absolutna uczciwość wagi, nienaganny gaunek produktów. Powodzenie murowane.

Kto pierwszy zacznie?

■

Elegancka pani jest zawsze bardzo wymagająca w sprawie obuwia, ceni je więcej niż najmodniejszą suknię. Ale wytworne obuwie musi być odpowiednio pielęgnowane, aby nie pękało i nie matowiało od złej pasty. Niema najmniejszej wątpliwości, że DOBROLIN, pasta do obuwia zawdzięcza swoją niezwykłą popularność temu, iż nietylko nadaje obuwiu połysk, ale je też znakomicie konserwuje.

■

...w Polsce jadamy niehygienicznie. Przerażający nadmiar mięsa, a o wiele zamało jarzyn i owoców! Cudzoziemiec, przybywający do nas, napróżno szuka w restauracjach — nawet w tych najlepszych— doboru jarzyn, do których przywykł. Powtarza się w kółko ciągle: marchew, buraki, kapusta.

Jedna z czytelniczek pisze do mnie, prosząc o radę w tej materji.

„Jestem urzędniczką — pisze — na służącą mnie nie stać. W restauracjach jarzyn prawie wcale nie podają — gotuję więc sama w domu, po powrocie z biura.—Ale co? Codzień prawie to samo: albo sznycel z kartoflelkami, albo kotlet siekany z marchewką. Ostatecznie befsztyk z buraczkami. Już patrzeć na to nie mogę. Jakby to urozmaicić trochę, nie dodając sobie wiele pracy?"

Przypomniałam sobie zaraz życie jednej z moich znajomych w Paryżu. Też kobieta pracująca. Ale kobieta praktyczna, jak wszystkie francuski (choć się cieszą niesłusznie opinją „lekkomyślnych"). Jadłam u niej potrawę bardzo łatwą, którą każda z pań przyrządzi na maszynce w parę minut.

Kupić jeden spory seler, wagi około pół kilo. Obrać, pokrajać w kostkę, ugotować do miękkości ze szczyptą soli, łyżeczką cukru, łyżeczką masła. Kiedy seler jest już miękki — (gotuje się b. prędko, najwyżej kwadrans) włożyć do tegoż rondelka 10 deka szynki gotowanej, potrzymać pod przykrywką trzy minuty. Podawać razem.

Jedliśmy to danie w towarzystwie paru osób, niektóre z nich były wymagające i przyzwyczajone do wykwintnej kuchni. Proste to danie wszystkim smakowało — może właśnie dlatego, że nie jest to znów nieśmiertelna cielęcina z nieodmienną marchewką. Zaznaczyć przytem należy, że seler nietylko jest jarzyną bardzo smaczną, ale i niezmiernie zdrową. Specjalnie zaleca się wszystkim, skłonnym do reumatyzmu. *Dama Pikowa.*



Z WYSTAWY PRAC KOBIECYCH

W małym Salonie Zachęty, ul. Królewska 17, została otwarta wystawa prac kobiecych: akwarele p. Molly Bukowskiej, kolekcja prac graficznych St. Dyboskiej, L. Lanżanki, I. Mińskiej - Golińskiej Z. Stankiewicz, Z. Sznuk - Koskowskiej, M. Wolskiej - Berezowskiej, oraz wystawa ceramiki W. Rudzińskiej - Wypychowej. Wystawa będzie otwarta do dnia 1. IV r. b.

„Pan Twardowski na kogucie“ ceramika W. Rudzińskiej - Wypychowej



„Łódź“ — akwaforta Zofji Stankiewicz

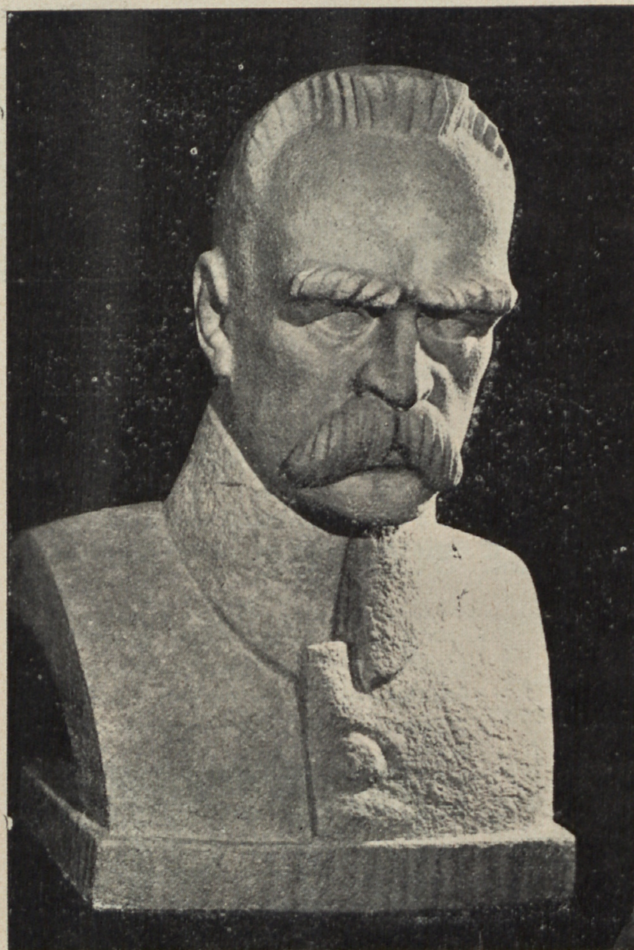
Do numeru bieżącego dołączamy jako premjum książkę prof. E. Tarlé, p. t.

NAPOLEON — WSCHODZĄCE SŁOŃCE

WYGRANA PODSTAWĄ SAMODZIELNOŚCI

Jakże często stawiamy sobie pytanie, jak spożytkowane bywają pieniądze wygrane na Loterji?

Praktyka wykazuje, iż, w przeważnej części gracze loteryjni, to ludzie praktyczni, trzeźwo i pożytecznie realizujący uśmiech fortuny.



Popiersie Marszałka Józefa Piłsudskiego, dzieło artysty rzeźbiarza Jana Kubickiego, ofiarowane przez autora Dyrekcji Loterji Państwowej, jako dowód wdzięczności

Ileż razy skromna, średnia wygrana staje się podwaliną bytu całej rodziny! Warsztat, sklep, narzędzia pracy, ulepszenia ogrodu, gospodarstwa — oto cel, marzenia, zamierzony czyn nabywcy losu, grającego dla wygranej — ale nie dla hazardu. A kiedy niezachwiana wiara i pewność wygranej doprowadzi do upragnionego celu to wygrana na loterji suma niejednokrotnie stanowi o dalszym życiu człowieka.

Najlepszym dowodem tego jest list p. Kubickiego z Zielonki, który tutaj w całości zamieszczamy.

Do Dyrekcji Loterji
Państwowej.

W lutym 1936 r. mając z kolegami 1/4 losu N. 173404 wygraliśmy 10.000 zł. To dało mi możność rozpocząć samodzielną pracę rzeźbiarza.

W dowód wdzięczności składam Dyrekcji Loterji Państwowej podziękowanie i popiersie Marszałka Piłsudskiego, wykonane samodzielnie, już we własnej pracowni.

16.III.1937 r.
Zielonka, k/W.
ul. Długa 1.

Z poważaniem
Jan Kubicki.

OKOLICE PODZWROTNIKOWE W Z. S. R. R.

Olbrzymie terytorjum ZSRR posiada kilka godnych uwagi miejscowości o klimacie podzwrotnikowym. Ciepłe fale morza omywają brzegi i prawie w ciągu całego roku niebo jest niebieskie i słońce mocno grzeje.

Należy do nich wybrzeże morza Czarnego od granicy tureckiej do uzdrowiska Soczy — najważniejszy z terenów podzwrotnikowych ZSRR; pozatym południowe wybrzeże Krymu, południe Uzbekistanu, dorzecze górnego Piandżu z dopływami Kafernigan i Wachsz w Tadżykistanie, wschodnie wybrzeże morza Kaspijskiego w Turkmenii, Leńkorań i Astara — okręgi republiki Azerbejdżańskiej na pograniczu Iranu.

W roku 1925 rozpoczyna się racjonalna eksploatacja tych terenów. Tak np. plantacje herbaty zajmują obecnie przestrzeń 36.000 ha.

W 1936 r. zebrano 19.268 tonn zielonych liści herbaty. Inwestycje w dziedzinie plantacji herbaty wyniosły w ciągu ostatnich 11 lat 165 milionów rubli.

Krajobraz podzwrotnikowy — wybrzeże morskie tarasami wznoszące się w górę, kiście złotych mandarynek, cytryn i pomarańcz, palących się pod gorącym słońcem w olbrzymich sadach — pieści wzrok. Rok rocznie robione są tu próby zaaklimatyzowania roślin tropikalnych z różnych stron świata.

Gospodarka tych terenów podzwrotnikowych podlega kierownictwu sieci instytutów naukowo - badawczych. W Tadżykistanie, Abchazji i Turkmenii rozwija się pomyślnie uprawa geranii i związana z nią produkcja olejku geraniowego, używanego w przemyśle perfumeryjnym.

Współzawodnictwo Abchazji z Algierem pod tym względem rozpoczęło się już w 1929 r. Produkcja olejku geraniowego w ZSRR zajmuje drugie miejsce na świecie.

Wiele uwagi poświęca się obecnie w ZSRR hodowli i innych roślin, dotychczas tu nie uprawianych, jak eukaliptus, drzewo kauczukowe, grapefruity, bambus, róża kazanlycka, lewanda i t. p.

Celem zwiększenia podzwrotnikowych terenów uprawnych prowadzone są prace nad osuszaniem terenów znanych błot kołchidzkich pod miastem Poti, zajmujących 200.000 ha.

PORADNIK KOSMETYCZNY PANI ZOJI

Nowoczesna wypielęgnowana kobieta, trzymająca rękę na pulsie postępu kosmetyki — sama musi się znać na tem, jak winna się pielęgnować.

Przede wszystkiem powinna wiedzieć, jak należy się myć stosownie do jej skóry, gdyż codzienne racjonalne mycie się, — jest podstawą nowoczesnej pielęgnacji.

Wybór środków do mycia uzależniamy od gatunku skóry.

Czy skóra ma podłoże suche, czy myć się należy środkami odtłuszczającemi, łagodzącemi, czy wprost przeciwnie natłuszczającemi.

Nieraz rozpoznanie gatunku skóry jest bardzo łatwe — skóra jest błyszcząca, skłonna do wągrów i krost, świeci się i odrazu jest widoczny nadmiar tłuszczu, albo widzimy skórę lżej lub więcej ściągniętą załamaną, łuszczącą się — co dowodzi braku tłuszczu, czyli, że skóra jest sucha. Najczęściej jednak spotykamy skórę t. zw. mieszaną — naprzykład nos i broda błyszczące, pokryte wągierkami — oznaka zbytniego przetłuszczenia, a czoło, policzki i skóra pod oczami matowa, skurczona, wrażliwa, skłonna do łuszczenia się — sucha!

Spotyka się jednak nieraz skóra, którą trudno rozpoznać nawet najwytrawniejszemu specjaliście.

Naprzykład skóra — policzki nos uprzednio odmrożone (może to być zupełnie nie zauważone przez samego osobnika) — pokryta wykwitami, bardzo wrażliwa, następnie skóra artretyczna, która ma nieraz nieustalone objawy — jak swędzenie, wypryski, przekrwienie, łuszczenie się lub, co jest najbardziej trudne do rozpoznania, skóra nerwowa, która daje wszelkiego rodzaju niespodzianki.

Nowoczesna kosmetyka jednak radzi na wszystkie przypadki cer suchych i tłustych. Są środki ustalone pewnym szablonem, dla cer wyjątkowych— indywidualne, dla artretyków łagodzące, dla skór nerwowych uspakajające i t. d.

I tak do codziennego mycia skóry w pierwszym rzędzie stosują się środki łagodzące w postaci kremu, olejków, cleansing'ów oraz płynów zwanych w kosmetyce popularnie lotion'ami.

Uwaga! Kobieta dorosła w XX wieku nie stosuje wcale mydła do mycia!

Zasadniczo najpierw zmywamy twarz środkami usuwającemi nieczystości ze skóry i te środki są na podstawach tłuszczowych — następnie płuczemy wodą i stosujemy lotiony, które w miarę potrzeby odtłuszczają skórę lub łagodzą.

Skóra bardzo wrażliwa artretyczna, nerwowa — najlepiej się czuje **bez wody!**

Pamiętajmy codzienie myjąc twarz, że robimy sobie podstawowy zabieg pielęgnacji skóry, a nawet i mięśni — który racjonalnie stosowany wypełnia braki naszej cery i zapewnia długi, trwały wygląd świeżości i młodości.

Dodatkowych wyjaśnień udziela Pani Zoja, Kierowniczka Salonów Kosmetycznych „Gracja" w godz. 12—14 i 18—19 przy ul. Wilczej 35.

Wiosna i wieczna ondulacja w Salonach „Gracja"

Pokaz wiecznej ondulacji pod kierownictwem Pani Zoji w Salonach „Gracja" (dawn. Bagnowski)— wyjaśnił zebranym paniom, że w XX wieku kiedy każda pani stale musi mieć doskonale ułożone włosy — niepodobna się obejść bez trwałej ondulacji.

Trwała ondulacja zapewnia stały porządek w uczesaniu.

Wilgoć w powietrzu, wiatr, leżenie podczas snu — które normalnie rujnuje każde uczesanie — przy trwałej ondulacji nie są w stanie uczynić żadnej szkody, wprost przeciwnie, po trwałej ondulacji wilgoć dodatnio wpływa na włosy.

Jedynie należy zwracać uwagę, że trwała ondulacja musi być stosowana **indywidualnie** to też w zależności od gatunku włosów używane są różne płyny, różne systemy oraz czas trwania.

Brak zrozumienia tego — daje włosy posiekane, o zmienionym kolorze.

Pani Zoja ostrzega przed nieumiejętną trwałą ondulacją, w tym celu udziela specjalnych bezpłatnych porad w Salonach „Gracja", Wilcza 35, w godz. 12 — 2 i 6 — 7.



ŚWIAT



Wiliam Powell i Jean Arthur w filmie R. K. O. Radio „Bez świadków"

„Napiętnowana" Imperial

W powodzi filmów amerykańskich, sprowadzanych corocznie do Polski, rzadko zdarza się obraz godny całkowitego uznania. Ogromna produkcja amerykańska nie zaniedbuje żadnego rodzaju sztuki, wyzyskuje tematy z wszelkich dziedzin życia, czerpie scenariusze z najbłahszych nie raz wydarzeń, ubiera je w najróżniejsze formy artystyczne (nie zawsze artystyczne), posługując się całą armią wyszkolonych aktorów, statystów, pracowników technicznych, mających do dyspozycji zasobny arsenał nowoczesnych środków pomocniczych.

Masowa produkcja posiada cenne zalety. Dzięki niej, dzięki ogromnym obrotom pieniężnym potężnych wytwórni trudności finansowe i techniczne są dla realizatora i producenta prawie bez znaczenia. Doskonałość techniczna, nabyta przez wielką specjalizację i ułatwienia, wprowadzone przez bezsprzeczną standaryzację i szablonowość filmów amerykańskich, dają w rezultacie sporą porcję filmów dobrych, żywych i interesujących, ale nie zawsze mogą zadowolić wybredniejszego widza. Płytkość i szablonowość ujęcia większości filmów amerykańskich razi europejczyków i sprawia, że, mimo często wielkiego podziwu dla poszczególnych reżyserów czy aktorów, wychodzimy z kina z nieprzyjemnym uczuciem pustki, braku jakiegoś głębszego wniknięcia w treść produkowanego obrazu.

„Napiętnowana" wytwórni Warner Bros. dodatnio odbija od szablonowego tła błahych komedii i powierzchownych dramatów. Widać tu rzetelną pracę reżysera i scenarzysty, których nie zadowoliła płytka standartowość. Postanowili oni sięgnąć głębiej, dać obrazowi pewną podstawę psychologiczną, wyraźnie naszkicowaną ideę przewodnią.

Cały film jest oparty na szlachetnym motywie miłości macierzyńskiej, której moc przemawia do widza z ogromną wyrazistością, dzięki zastosowaniu najprostszych środków pomocniczych. Zbędne szczegóły nie zaciemniają akcji, nie komplikują zbytecznie jej konsekwentnej linji rozwoju. Pobudki najmniej oczekiwanych poczynań, dzięki trafnemu usprawiedliwieniu psychologicznemu, okazują się logiczne i słuszne.

Naturalność i realizm filmu ogromnie zyskują dzięki znakomitej grze wykonawców. Nikt tu nie wypadł blado, nieprzekonywująco. Tragicznie piękna Kay Francis, wstrząsającą w swej prostocie ekspresją, targnęła nerwami widza. Jej niepokojąca uroda i bolesny wyraz ogromnych oczu nadały roli głównej bohaterki piętno prawdy i głębokiego przeżycia. Jedna z najinteligentniejszych aktorek Hollywoodu ostatnią rolą przewyższyła swe po-

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem porozumieniu się z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca**

przednie kreacje i niczym nieodpartym realizmem wtargnęła do serca widza.

Dzielnie sekundowali wielkiej gwieździe Paul Lukas, który rolę zakochanego dyrektora teatru umiejętnie podkreślił dyskretną wytwornością i kulturalnym umiarem, i Ian Hunter, zdolny, wnikliwy reporter wielkiego dziennika, grający swą partję z przekonywującą naturalnością i niekłamanym temperamentem.

Uroczą córeczką słynnej gwiazdy była przemiła Sybil Jason, świetnie grająca, prosta, pełna wdzięku.

Dobra obsada, właściwe tempo, interesująca treść i szereg świetnie zrobionych scen wyróżniają „Napiętnowaną" z masy amerykańskich filmów głębokością ujęcia i niemal nienaganną konsekwencją rozwoju akcji.

J.



Kapelmistrz Franciszek Witkowski przybyły z hotelu „Patria" w Krynicy gdzie koncertował przed książęcą parą Holenderską, występuje obecnie w Paradisie w Warszawie

Greta Garbo lansuje podwójnego walca

„Greta Garbo umie wydobyć z walca więcej wdzięku niż ktokolwiek inny" — twierdzi słynny baletmistrz, Val Raset, który komponował tańce dla Grety Garbo i Roberta Taylora do filmu „Dama Kameliowa". Raset występował w Cesarskim Rosyjskim Balecie wraz z Nižińską, Pawłową, Karsawiną. Jego autorytet w kwestiach tańca jest niezaprzeczony.

„Charleston i black-bottom znacznie obniżyły dystynkcję i wdzięk tańca klasycznego. Trzeba dopiero ukazać światu czar walca, tańców balowych i klasycznych.

Greta Garbo, która ma znakomite wyczucie rytmu, w zupełności to docenia. Spodziewam się, że właśnie dzięki jej autorytetowi, tańce balowe przywrócone zostaną do swej świetności.

Dużo tancerek, tancerzy, aktorów scenicznych i filmowych uczyło się pod moim okiem stawiać pierwsze kroki taneczne. Jean Harlow, Joan Crawford, Jeanette MacDonald — te nazwiska mówią za siebie... i za mnie.

Znam się na tańcu nowoczesnym równie dobrze, jak na klasycznym. Nie przeczę, taniec dzisiejszy ma znamiona sztuki. Jest zresztą wyrazicielem swej epoki. Dobra tancerka w stylu Eleanor Powell ma duże możliwości i jej taniec sprawia dla oka dużą przyjemność. Może jestem subjektywny, ale wolę jednak taniec taki, jakim go znałem w młodości.

Greta Garbo nie zgadza się z moimi zapatrywaniami. Uważa ona, że taniec klasyczny nie wróci już do swej dawnej świetności. W każdym razie jednak walc, mazurek, polka są w jej oczach tańcami o dużej wartości artystycznej. Byłem jej szczerze wdzięczny, gdy zgodziła się zatańczyć mazurka w „Annie Kareninie". Jestem wzruszony tym, że w „Damie Kameliowej" tańczy polkę i podwójnego, dziś nieznanego, walca.

Gdy uczyłem Garbo tych tańców, miałem szczerą satysfakcję. Ma ona poczucie tańca i rytmu. Niejednokrotnie czyniła poprawki ,które przyznać muszę — były przeważnie nietylko słuszne, ale wręcz świetne.

Może dzięki Grecie Garbo ujrzę jeszcze na balu jeden z tańców, które przywrócą mi wiarę w przyszłość sztuki tanecznej. Jeśli wróci podwójny walc — to chyba tylko dzięki „damie kameliowej" — Grecie Garbo.

ŚWIAT FILMU

„Madame Lenox" Studio

Żalimy się często na polską produkcję filmową, zarzucając jej brak oryginalnych tematów, nieustanne wałkowanie naszej przeszłości historycznej z okresu niewoli we wszelkich możliwych oświetleniach i obsadach. Istotnie, filmów polskich z niedawnej przeszłości, z epoki powstań, rewolucji roku 1905-ego widzieliśmy wiele. Na usprawiedliwienie tego typu produkcji możemy jednak przytoczyć szereg argumentów.

Filmy te są bliskie sercu widza polskiego, przemawiają do jego uczucia potrącając strunę patriotyzmu i dumy ze śmiałych czynów obecnego i przeszłego pokolenia.

Nie wiemy jednak, czym można wytłumaczyć zainteresowanie niemieckiego przemysłu filmowego naszą niedawną przeszłością.

W każdym razie stajemy przed faktem dokonanym: niemiecka wytwórnia filmowa nakręciła film, którego tematem są dzieje walk polskich niepodległościowców z tyranią caratu.

Helena Lubowska udaje się w charakterze kuriera emigracji polskiej w Paryżu do Petersburga, aby przewieźć przez granicę nowy klucz szyfru dla tajnej korespondencji i aby nawiązać kontakt z przedstawicielami niepodległościowego ruchu polskiego na terenie Rosji. Dzielna emisarjuszka korzysta z pomocy obywatela amerykańskiego, pułkownika Lenox i jako jego żona przejeżdża szczęśliwie granicę. Ciekawe przygody przypadkowego małżeństwa, zakończone bohaterskim uwolnieniem z lochów twierdzy Pietropawłowskiej trzech skazanych na śmierć Polaków, są przedstawione w sposób interesujący i nie raz prawdopodobny.

Zasługa to duża reżysera E. Waschnecka, który przez odpowiednie tempo i pomysłowy montaż wydobył z obrazu wiele interesujących momentów.



Scena z filmu „Moskwa — Szanghaj", z Polą Negri w roli tytułowej

Dobra gra dwojga czołowych bohaterów (Helena Lubowska — Renata Müller, Artur Lenox — Georg Alexander) i ciekawa sylwetka Paulsena w roli szefa ochrany zasługują również na wyróżnienie.

Szereg dobrze przemyślanych i zagranych scen przy umiejętnym dostosowaniu oświetlenia, tempa i nastroju predestynuje film do rzędu udanych technicznie.

Ale to nie jest wszystko. Film zrobili Niemcy i zrobili go solidnie. Na tendencję obrazu, oświetlenie tych czy innych sytuacji Polacy wpływu nie mieli. Ale film został sprowadzony do Polski.

Mamy prawo wymagać, aby z momentów historycznych, drogich sercu Polaka nie robiono operetki ani lekkiej komedii. Nie mieliśmy wpływu na „kręcenie" filmu — mamy natomiast duży wpływ na jego wyświetlanie. Czyż cenzura polska nie mogła wykreślić z filmu scen raniących uczucia widza Polaka? Czy w wypadku niemożliwości technicznych, streszczających się w zbytnim pokawałkowaniu filmu nie należało po prostu zabronić wyświetlania go na terenie Polski?

Nie chcemy winić producentów Niemców. Dla nich temat jest duchowo obcy. Starali się przedstawić rzeczywistość walki garstki odważnych spiskowców z caratem w sposób możliwie zbliżony do prawdy. Dla ożywienia filmu wprowadzili trochę elementu komediowego — ironii. O ironio! Niemiecki humor na temat polskich świętości narodowych!

Tego oglądać nie chcemy.

J.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. W. Łazarski, Dzierż. Spółdz. „SPÓJNIA", Żelazna 58a.

P